Nr. 6. Lwów, dnia 15. czerwca 1895. Rok XVIII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Na rojstach litewskich r. 1893.

„Tam świat inny, lud odmienny
Kraj zapadły, równy, senny,
Często mszysty i piaszczysty.
Puszcze czarne, zboża marne,
Nieba bledsze, trawy rzedsze,
Rojsty grząskie, groble wąskie.

Wincenty Pol.

(Panu S. Hirszmanowi w dowód prawdziwej sympatyi i uznania — Autor).

Prawdziwie ocenić i zrozumieć, czem jest wieś w czasie lata, umieją tylko mieszkańcy wielkich miast, skazani na spędzenie letnich upałów w miejskich murach, rozpalonych dziennym skwarem, których nawet chłodniejsze noce nie są w stanie ostudzić. Ci nieszczęśliwi zapominają, co to jest świeże powietrze w lesie albo na polu, a o prawdziwej zieloności tracą pojęcie, patrząc na szare od kurzu uliczne drzewa i publiczne ogrody.

To też wyjazd na wieś zalicza przeciętny mieszczanin do szczęśliwych chwil, jakie mu się w ciągu roku przytrafić mogą, i godziny wyjazdu czeka jak wybawienia.

Wyjazd taki nabiera jednak większego jeszcze uroku, jeżeli to myśliwy jedzie na polowanie. Ach, samo słowo „polowanie“ — jak ono czarownie brzmi dla ucha miejskiego Nemroda, który nieraz miesiące czekać musi, zanim mu je wolno wymówić, dla zapalonego myśliwego, który nie widuje innej zieloności, jak w skwerach miejskich, a zwierzynę w sklepach za szybą!...

Każdy z nas, dla których św. Hubert srogim był patronem, zamykając nas w mieście z naszą namiętnością, zna bicie serca, towarzyszące takiej wyprawie i gorliwe przygotowania, które ją poprzedzają.

Broń, drzemiąca spokojnie na ścianie, zostaje zdjętą na trzy dni naprzód, i okurzona, odczyszczona, czeka zamknięta w podróżnym futerale, aż wybije uroczysta chwila, w której znów ujrzy światło dzienne.

Ubiór, przybory, amunicya — wszystko w szyku, a poczciwy „Bekas“ albo „Dyana“, pędzące bezczynny żywot na

zaglądaniu w oczy kucharce, wyrastają do rzędu najpierwszych osób, którym wszyscy dogadzają, nie szczędząc pieszczot i przysmaków.

Na wsi, polowanie to rzecz codzienna, zwyczajna, spowszedniała nawet dla najzapaleńszych; ale dla nas miejskich ślimaków, przygniecionych ciasną skorupą obowiązku, wiążącego do miejsca — to owoc zakazany — ba! często raj utracony dla tych, co dawniej na wsi mieszkali. To też, kiedy wiejski myśliwy widzi w polowaniu najczęściej samą tylko treść, t. j. widok zwierzyny i piękny strzał, nad jedno i drugie przenosząc często dobre śniadanie i wesołą kompanię — inaczej rzecz się ma z jego miejskim kolegą. Dla miejskiego myśliwca polowanie to swoboda, głowa wolna od trosk, powietrze, ruch i zdrowie, słowem, wszystkie najcenniejsze dary życia, których los skąpił mu rok cały, a w dodatku uczucie, że wolno mu wreszcie zaspokoić namiętność i umaczać usta w słodkim kielichu, do którego wzdychał długo napróżno.

„Ach, i ja kiedyś w Arkadyi byłem!" i trzy miesiące najpiękniejszego polowania, całe wakacye uniwersyteckie, spędziłem w okolicy niezmiernie w zwierzynę bogatej, gdzie bite kuropatwy setkami się liczyło. Dziś odwrócił odemnie swe oblicze św. Hubert, mieszkam w mieście, poluję rzadko — kiedy czas pozwoli — i z westchnieniem wspominam lepsze, jaśniejsze dni...

„...dziś piękność twą w całej ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie!"

Ostatni rok szczególniej był mi pod względem polowania fatalnym, bo ważne zajęcia nie zostawiły mi ani chwili wolnej. Musiałem siedzieć w mieście przez cały sezon myśliwski, i minęła jesień a potem zima, w ciągu których nie dałem ani jednego strzału.

Z początku, kiedy w chłodne ranki zawisła nad światem jesienna mgła, kiedy w powietrzu zjawiła się pajęczyna a w polu zapachniały powiędłe kartofle, ta nieodłączna woń przy polowaniu na kuropatwy — trapiła mnie nieopisana tęsknota.

Pierwsza ponowa, kryjąca miejskie dachy białym płaszczem, sprowadzała mi łzy do oczów, i chodziłem dnia tego jak struty, miejsca sobie nie mogąc znaleść, tak mi w mieście było źle i ciasno...

Potem przyszła wiosna, myśliwskie bezrobocie; nie polowałem więc i ja, a wspomnienia dawniejszych tryumfów przesłoniły się tymczasem mgłą zapomnienia, za którą, jak miraż przesuwały się roskoszne obrazy, widziane w szczęśliwsze dni. Obławy na grubego zwierza w lesie przysypanym śniegiem — złote pola ściernisk, przeszukiwane szybko przez białe wyżły — albo głuche stawy i szuwary, wśród których bez szelestu sunęła łódka...

Że będę jeszcze polować w życiu, sam nie śmiałem wierzyć. Nie wyobrażałem sobie, żeby ten piękny sen mógł się ziścić, bo rzeczywistość byłaby zbyt piękną...

* * *

Nadeszło tymczasem lato, skwarne i duszne, pełne kurzu i zaduchów. Kto mógł, uciekał z miasta — Warszawa pustoszała z dnia na dzień, aż zostali się w końcu tacy, którym los odmówił zupełnie zieloności i powietrza. Tak zastał mnie w Warszawie lipiec r. 1893.

Oddawna byłem zaproszony na polowanie na Litwę przez kolegę uniwersyteckiego; zaproszenie ponawiał co roku, ale zawsze coś stawało na przeszkodzie, i wybrać się nigdy nie mogłem, mimo szczerej chęci. Obiecywał strzał do głuszców i pardw, a o cietrzewiach i dubeltach nie było co i mówić — uważano je tam za zwierzynę tak pospolitą, że jej nie wspominano.

Przy kłopotach i troskach o zaproszeniu tem zapomniałem, kiedy pewnego dnia, wróciwszy do domu, poznałem, między listami przyniesionymi pod mą nieobecność, pismo mego kolegi. List był serdeczny, nalegający, żeby przyjechać koniecznie, bo zwierzyny tego roku dużo i polowanie zapowiada się doskonale. Serce zabiło mi żywo, kiedy przeczytałem te słowa — uczułem, że dawna gwałtowna namiętność odżyła we mnie w całej sile. Niech będzie co chce — pomyślałem — pojadę! Dla takiej zwierzyny, jaką tam mam spotkać, warto zgrzeszyć. Gdyby to były kuropatwy albo zające, nie mówię, ale głuszce! Pojadę *à tout prix*. Nie miałem, co prawda, czasu, powinienem był siedzieć i piec się w mieście, ale robota była nie pilna a pokusa ogromna. W mieście gorąco panowało, jak w łaźni, wieś i lasy nęciły, a w tych warunkach sumienie staje się elastyczniejszem, łatwiej z niem wejść w ugodę. Żeby się nie rozmyśleć, odpowiedziałem depeszą, że przyjadę, i poprosiłem o konie.

W trzy dni później, w piękny lipcowy poranek, w towarzystwie starego Black'a, wysłużonego pointer'a, przed którym zabiłem już dużo setek kuropatw, ruszyłem na dworzec. Myślę, że Stanley, ruszając w głąb Afryki na poszukiwanie Emina-paszy, nie przygotowywał się staranniej, jak ja. Począwszy od nowej dwunastki, która miała odbyć swój debiut, a skończywszy na nowym kapeluszu, sprawionym *ad hoc* — wszystko było jak na przegląd, bez zarzutu.

Z lekkiem sercem wsiadłem do dorożki, bojąc się, żeby w ostatniej chwili nie zaszło coś, coby wyjazdowi w poprzek stanąć mogło. Ze schodów schodziłem, jak ktoś, co się boi pogoni -- nie śmiałem się obejrzeć. Wreszcie dorożka ruszyła — odetchnąłem.

Miałem poprostu niebo w sercu, a Warszawa nie wydała mi się nigdy tak piękną, jak tego ranka. Kobiety wydały mi się przystojniejsze, niż zwykle, dorożka nie grzechotała rozśrubowanem żelaztwem, powietrze, którem oddychałem, było czyste i wonne, a nawet mój dorożkarz był dziwnie uprzejmym tego dnia nadzwyczajnego...

„Black" równie jak ja w doskonałym jechał humorze. Poszczekiwał na mijające nas psy, jak gdyby się chwalił, wspinał się na kozieł, obwąchując kołnierz dorożkarza z dziwną uporczywością, a po nogach deptał mnie tak zawzięcie, jak gdyby to było jedynym celem jego podróży. Od czasu do czasu zwracał jednak uwagę i na mnie, spoglądał mi w oczy i trącał nosem w rękę, co w jego psim języku znaczyło mniej więcej: „Widzisz, bawi mnie to wszystko i zajmuje bardzo, ale myślę i o tobie, bo kocham cię po dawnemu".

Minęliśmy żelazny most na Wiśle, koła zaturkotały znów po bruku — i stanęliśmy na dworcu. Tu biednego „Black'a" ciężkie czekały chwile, bo mimo gorących starań z mej strony, mimo szeleszczących argumentów, których nie szczędziłem, zamkniętym został do okratowanej psiej budy, które to miejsce etyka kolejowa wyznacza psom nawet opatrzonym kagańcami. Nie pomogło nic. Biedny „Black", mimo energicznej obrony, znalazł się najniewinniej w świecie za kratą. Ha! cóż robić, mój biedny psie! Nie ty pierwszy i nie ostatni — wyższych od ciebie to spotykało... Swoją drogą żal mi go było niezmiernie i odszedłem od wagonu, żeby nie słyszeć jego żałośnego wycia, i nie widzieć żółtych okrągłych oczów, żałośnie we mnie patrzących, jak gdyby pytały, za co go ta krzywda spotyka?

Odwiedzałem go na każdej stacyi, gdzie czasu było dosyć, nosząc mu przysmaki i karesy, a w Białymstoku, gdzie jedliśmy obiad, dobra harmonia wróciła między nami w zupełności. Przekonał się i wyrozumował psią logiką, że podróż, choć za kratą, nie jest znów tak złą rzeczą, bo krzywdy nie robią, a jeść dają smacznie.

Za Białymstokiem kraj widocznie zmienił fizyognomię. Wsie stały się rzadsze, uboższe, częściej świecił piasek po polach w wąskie zagony oranych; po łęgach stała woda na czarnem błocie. W lasach zjawiła się jodła, lasy były niskie, wilgotne, przechodzące miejscami w torfniaki, porosłe karłowatą brzozą i sośniną.

W takich lasach znaleść się miałem wkrótce; przyglądałem im się więc z podwójnem zajęciem. Cały ten świat, do którego niósł mnie trzęsący wagon, był dla mnie nowy i nieznany; natura, ludzie, ich obyczaje — wszystko to zaciekawiało mnie niezmiernie. Wielkich miast miałem już w ogóle dosyć, więc przypatrzeć się chciałem ludziom bliżej żyjącym z miejscową przyrodą, ludziom, noszącym osobny charakter ziemi, która ich żywi, nie spłowiałym pod promieniami banalnego kosmopolityzmu i tak zwanej kultury, polegającej zazwyczaj na piciu koniaku, ktory nie widział Francyi i na paleniu hamburgskich cygar nie z Hamburga.

Za Grodnem wjechaliśmy we właściwą Litwę, a tymczasem słońce kończyło dzienną swą wędrówkę, i na krajobrazy, migające przez okna wagonu, zapadać zaczął wieczór, topiąc dalsze przedmioty w szarym półcieniu. W wagonie powietrze było straszne, bo jakaś Rossyanka z uszami zatkniętemi watą i z kwaśną twarzą obawiała się „cugu“ i bolu zębów. Wyszedłem więc na platformę odetchnąć trochę powietrzem.

Pociąg pędził przez torfiaste, rozległe łąki, porośnięte lichą krzewiną; na tle ciemnej ściany boru świeciła wysoka, łysa góra piasku, ozłocona ostatnimi promieniami zachodu. Krajobraz to typowy litewski, który spotykałem tam na każdym niemal kroku. Powtarzają się na nim zawsze: bagno, piasek i las...

Po krótkim lipcowym zmroku ziemię przykryła noc piękna, jasna, pełna świeżości i zapachów, które w ciągu dnia słońce wywabiło z ziemi. Nasycić nie mogłem się chłodnem powietrzem, które pruł gwałtowny bieg pociągu. Tego balsamu, którego mi brakło od roku, miałem tu niemal za dużo. Tłoczył mi się do płuc, szumiał w uszach, przenikał moje włosy i ubranie — i było skarbu tego, pożądanego w wielkich miastach, całe morza i przestwory, których wypić nie potrafiliby wszyscy mieszczuchy razem zebrani.

Pociąg pędził jak zapamiętały, ciągnąc za sobą długi warkocz dymu, nasiany iskrami.

O dziesiątej z wieczora minęliśmy Wilno — i dobrze po dwunastej, głuchą już nocą, dojechaliśmy do małej stacyi, gdzie czekać na mnie miały konie. Jakoż zastałem małą, leciutką bryczkę na drewnianych osiach, zaprzężoną parą krępych żmudzinów o łbach kudłatych, jak żubry. „Black“ uszczęśliwiony swobodą, uspokoić się nie mógł w radości; skacząc i skomląc, pierwszy wskoczył na bryczkę. Ruszyliśmy — i od tej chwili rozpoczęła się moja odyssea litewska, pełna wrażeń, nowych ludzi i zdarzeń.

* * *

Za stacyą zaraz wjechaliśmy w bór, ciągnący się dwoma wysokiemi ścianami z obu stron drogi, chłodny, wilgotny od rosy i pełen zapachu grzybów i żywicy. Było to pierwsze wrażenie, jakie odbiło się na mych mózgowych kliszach — najpierwsze i najmocniejsze — to, którego nie zapomina się nigdy. Odpowiadało ono doskonale obrazom, jakie snułem w wyobraźni, myśląc o Litwie. Piaszczysta droga prowadziła przez głuchy, ciemny las, pachnący puszczą i niedźwiedziami. Z radością myślałem, że oto jestem na tej Litwie, o której tyle słyszałem i czytałem. Wszystkie bajki i historye słyszane od dzieciństwa, o litewskich borach, zwierzynie grubej i litewskich polowaniach stanęły mi w pamięci. Serce biło mi żywo, kiedy myślałem, że jestem nakoniec w tej obiecanej krainie myśliwego, opiewanej przez poetów, i że niedalej jak jutro deptać ją będę sam — myśliwy — ze strzelbą w ręku.

Jechaliśmy stępo po piaszczystej drodze, nad którą świecił jasny pas nieba nad wierzchołkami sosen. Noc była dziwnie gwiaździsta, uroczysta i spokojna. Czułem, że mi jest w tej ciszy nad wyraz dobrze, że odpoczywam po turkocie miasta, który został gdzieś bardzo daleko. Zlałem się w jedną całość z tą ciepłą nocą lipcową i z tym lasem, w którym zniknąłem jak ziarnko piasku, bez myśli i bez woli.

Tego słodkiego uczucia nicości i ubezwładnienia, uczucia ogromnego spokoju, doznaje każdy człowiek, kiedy po długiem życiu sztucznem i abstrakcyjnem zetknie się naraz z bliska z wielkiemi dziełami przyrody. Uczucie, jakiego się wówczas doznaje, ma w sobie coś kojącego, pocieszającego i podobnem jest do uczucia zmęczonego dziecka, tulącego się do łona matki...

Sprawy, które wczoraj jeszcze pochłaniały mnie całego, wydawały mi się dzisiaj, w obec tego gwiaździstego nieba i tej cichej nocy litewskiej, małemi i śmiesznemi, a ludzie z ich codziennem kłopotliwem życiem — istotami z innej planety.

Nie chciałem myśleć, że to „dziś“ jest tylko słodkim snem, a wczoraj i jutro rzeczywistością. „Black“ podobnie jak i ja był pod urokiem chwili, bo spać nie chciał, tylko strzygł uszami, badając nosem zalatujące go z lasu, nieznane wonie.

W wyobraźni i ja widziałem las, przez który szła droga, napełniony zwierzyną, bo nie wystawiałem sobie litewskiego lasu bez wilków i niedźwiedzi. Byłbym się też nie zdziwił zbytecznie, gdyby z zarośli wynurzyła się naraz rosochata głowa łosia albo niedźwiedź. Ale były to naturalnie tylko mrzonki, wysnute z wyobraźni chciwej złudzeń. O łosiach i niedźwiedziach pamięć nawet zaginęła w tych stronach, od czasu, jak przeprowadzono kolej, która pożarła okoliczne lasy. Sam bór, przez który jechałem, z puszczy widzianej w nocy, przemienił się w jasnych promieniach słońca w lichy sosnowy las, tęgo poszczerbiony siekierą.

Na razie jednak złudzenie było zupełne, i pozostało mi to pierwsze wrażenie Litwy w postaci ciemnego boru, zalanego nocą, tajemniczego i głuchego, pełnego dzikich woni i uroku.

Wyjechaliśmy z lasu. Niebo bladło już świtem, nad rolą wisiał w powietrzu pierwszy skowronek, witający ranną pieśnią budzący się dzień. Nad łąkami podnosiła się biała mgła, przesłaniając krzaki i drzewa zasłoną z gazy i zacierając kontury przedmiotów.

Droga przestała być piaszczystą i bryczka turkotała coraz częściej po groblach, ułożonych z okrąglaków na bagnach. Pola grodzone były płotami, zamkniętymi wpoprzek drogi bramą. Stawaliśmy przed każdą; gruby Antoni złazil z kozła mrucząc pod nosem na żmudę i otwierał bramę, którą zostawiał otwartą przejechawszy.

Minęliśmy kilka wsi i zaścianków, także zamkniętych bramami. Wsie ludne, czyste, dobrze zabudowane i ogrodzone, świadczą dobrze o gospodarności miejscowego ludu. Domy stoją bokiem do drogi, budowane w węgieł z ogromnym okapem dachu, słomą najczęściej kryte. Pod okapem wiszą drabiny, brony i inne gospodarskie porządki. Podwórka ciasne ale czyste, budowane w kwadrat, składają się z obórki, „świrni“ czyli stodoły i małego spichlerzyka na słupach budowanego, „klecią“ tu zwanego. Podobne są do siebie jak dwa ziarna i nie wiem, jak sami gospodarze poznać je mogą.

Okienka po chatach równe, kwadratowe, miały wszystkie szyby w porządku. Z jednego wyjrzała jakaś płowa rozczochrana głowa, patrząca zaspanemi oczyma, kto tak rano jedzie.

O ile wsie robią wrażenie zasobnych i porządnie zabudowanych, o tyle gleba jest biedną, mało rodzi i po macoszemu traktuje tych, co ją kochają. Liche żyto i liche kartofle, czasem trochę gryki pod lasem na wycinkach — to cały plon i owoc całorocznej pracy chłopa. Pomimo to lud pięknie wyrośnięty, dorodny, choć brzydki z twarzy. Za to grzeczny, usłużny, wita podróżnego chwaląc Jezusa i czapkę zdejmuje. Ubrani w szary samodział z wełny i niebielone płótno, harmonizują z otoczeniem, jak oni płowem i bezbarwnem. Na Kujawach, w Łowickiem, w Sandomierskiem, gdzie gleba bogata mieni się pyszną zielonością i złotem pszenicy, stroi się i lud w jaskrawe kolory. Tutaj chłop, ten najbliższy syn ziemi którą uprawia, przyjął także barwy swej karmicielki i szarą jak ona nosi szatę.

Rzeczywiście przeważającym tu kolorem jest szary, jakgdyby wszystko, na co się patrzy, przesłonięte było cienką warstwą popiołu. Nawet wspaniałe lipcowe słońce, które wyjrzało z za dalekiego lasu, nie ożywiło tego kolorytu.

Przedmioty zbliżyły się tylko, rozjaśniły, ale szara, posępna barwa krajobrazu została ta sama. Na szarej roli zboże szare i marne, bory i łąki nawet w południe przesłonięte lekkim welonem mgły szarej, drewniane domy szare od starości i mrówczy lud chłopski w samodział szary odziany.

— Cóż, Antoni, daleko jeszcze? — zapytałem furmana.

— Wiorst trzydzieści będzie, pan — brzmiała pocieszająca odpowiedź.

Do dyabła, myślałem w duchu, jedziemy cztery godziny i ujechaliśmy dwadzieścia wiorst! Kiedy my dojedziemy!

— Popaść trzeba, pan, w Bołowie, bo konie ledwie nogi wloką — dodał po chwili gruby Antoni.

Rzeczywiście żmudziny robiły bokami i pospuszczały kudłate łby sapiąc.

— A do Bołowo daleko? — zapytałem, aby coś powiedzieć, bo w rzeczy samej było mi wszystko jedno od chwili, gdy się dowiedziałem, że od celu podróży dzieli nas jeszcze trzydzieści wiorst, które trzeba było przebyć po piasku i groblach z tańczących pod kołami pniaków.

— A ot Bołowo, tam gdzie młyn — odpowiedział Antoni.

Jakoż wjechaliśmy do wsi, bryczka zaturkotała po moście i stanęliśmy przed karczmą. Z karczmy wyszedł żyd arendarz, zaspany, spocony, z włosami pełnemi pierza. Widać zbudziliśmy go i ruszyli z betów. Kłaniając się nisko, zapraszał do izby zapewniając, że samowar „zaraz będzie“. Wolałem czekać przed karczmą, bo w izbie pomimo wybitego okna zaduch był nieznośny i tysiące dziwnie natarczywych much, cisnących się do ust i do oczu. Żyd jako grzeczny gospodarz dotrzymywał mi towarzystwa i bawił rozmową. Wytrzymawszy indagacyę, kto jestem i gdzie jadę, sprowadziłem rozmowę na więcej miejscowe tematy i z kolei ja zacząłem rozpytywać o okolicę, szlachtę i t. p. Żyd znał wszystkich na pamięć. Kiedy dowiedział się, do kogo jadę powiedział:

— A znam, znam, stary pan (ojciec mego kolegi) zawsze tu bywał u mnie jak jechał do Wilna.

— A lasy tam duże? — spytałem na chybił trafił, chcąc się dowiedzieć czegoś, coby mnie naprawdę obchodziło. — Zwierzyny dużo?

— Nu, dawniej to była. Zjechali się panowie, postawili obławie dwa, trzy antałki wódki, to zawsze zabili kilka łosi. Ale teraz lasy wycięte, to łosiów niema.

Nawiasem mówiąc, pejsaty mój gospodarz wiedział coś o wycinaniu lasów w okolicy, bo był sam, jak się później dowiedziałem, faktorem, napędzającym okoliczną szlachtę do kieszeni wileńskich żydów, którzy lasy rąbali. O dalsze szczegóły odprawianych w okolicy polowań nie próbowałem go pytać, bo z tych interesowały go jedynie stawiane obławie antałki.

Brudna jak maż karczmarka przyniosła tymczasem kipiący samowar. Antoni wydobył z bryczki pękaty koszyk, naładowany przeróżnymi przysmakami w takiej ilości, że trzech można było nimi obdzielić. Jedząc, prosiłem żyda, żeby mi dał soli. Przyniósł mi trochę w papierku, bojąc się widocznie, żebym nieczystem dotknięciem nie strefnił jego solniczki. Żyd był jakiś starowier i po staroświecku ubrany w jarmułkę, z pod której spływały grajcarki pejsów, na nogach miał przydeptane pantofle, a z pod kamizelki wyłaziła mu śmiertelna koszula. Zapach, który nosił ze sobą, intrygował bardzo Black'a, który go obwąchiwał uporczywie ze wszystkich stron, niepokojąc żyda zbyteczną bliskością. Konie odpoczęły tymczasem, podjadły, Antoni napoił je i orzekł, że możemy ruszać w dalszą drogę.

Zaraz za wsią wjechaliśmy na ogromną płaszczyznę żółtego, lotnego piasku, ciągnącą się przed nami jak okiem zasięgnąć. Na piasku jasnym, olśniewającym od słońca, sterczały na łokieć czarne, opalone pieńki, smutne i martwe, jak nagrobki. Bo też jechaliśmy po cmentarzysku zniszczonego nieopatrzną ręką lasu.

Dwadzieścia kilka lat temu rosła na tym piasku puszcza, kryjąca starodrzewem mile kwadratowe. Pod sosnami, Witołda pamiętającemi, spacerowały łosie i niedźwiedzie, w konarach litewskich olbrzymów pędził zbójecki żywot ryś tyranizując drobną gawiedź po ziemi chodzącą. Teraz te cuda, na które stulecia się złożyły, znikły — a jedyny ślad, który po nich pozostał, to te zwęglone pnie, ktorych nie zwyciężył ani czas, ani ogień — i smutek w sercach tych, co pamiętają lepsze czasy...

Jest to niestety zwykła kolej litewskich lasów; kupcy zabierają tylko pnie t. z. „towar“, a wierzchoły i gałęzie zostają na miejscu, bo materyał opałowy nie ma wartości. Pewnej nocy koniuchy, pasający nocami, zapomną zgasić ogniska, wszczyna się pożar, przy takiej ilości nagromadzonego drzewa straszny i ginie wszelka drobna roślinność, którą oszczędziła siekiera, a w kilka tygodni, kiedy wiatr rozniesie popioły, pozostaje z lasu tylko ziemia, na której rósł i te czarne, ponure pnie, sterczące ku niebu jakby pomsty wołały. Był to najsmutniejszy kawał drogi z całej mej podróży.

U nas po wyciętym lesie życie kwitnie dalej. Jeżeli wycinki nie zostają zagajone na nowo, to po siekierze idzie pług i pszenica zaciera pamięć i ślady lasu. Tutaj po lesie zostaje śmierć i naga ziemia, bo na piasku rzucanym wiatrami, nawet trawka i jałowiec nie chcą się trzymać.

Słońce odbijało się od piasku i przygrzewało mimo wczesnej godziny jak w południe. Konie wlokły się noga

za nogą, przytem krajobraz był strasznie monotonnny, niczem nie wiążący myśli ani oczu. Zacząłem czuć senność i kiwając głową, jak żyd przy modlitwie, zasnąłem. Obudziło mnie mocne stuknięcie pod bryczką. Byliśmy znowu w lesie. Antoni, śpiąc jak ja, wjechał na korzeń, których mnóstwo wychodziło na drogę. Las był piękny, wysokopienny i mocno podszyty. Przecierałem oczy szczęśliwy, że się już skończyło to morze piasku i te opalone pnie śmiercią pachnące — radowałem się życiem i zielonością, które miałem przed sobą.

Drożynka poprzecinana korzeniami wiła się kręto pomiędzy grubemi pniami sosen jak na obrazach Chełmońskiego. Obrazy, które widziałem kiedyś, tak były wierne, tak prawdziwe, że zdawało mi się, iż to właśnie miejsce służyć musiało za model wielkiemu artyście. Drogi nie prostował, nie wytykał inżynier; była naturalna tak, jak naznaczył ją pierwszy chłop, przemykając się między drzewami wąskim wózkiem. Zegarek pokazywał dziewiątą; od popasu w Bołowie znowu upłynęły dwie godziny.

— Cóż, Antoni, długo jeszcze? — zapytałem furmana pewien, że mi odpowie, iż za lasem już zaraz.

— Wiorst piętnaście będzie, pan — odpowiedział z flegmą.

No, dziwne tu wiorsty, myślałem, kiedy milę jechać trzeba półtorej godziny.

— Czy na południe zajedziemy?

— Ha, może i zajedziemy, pan — zakończył, nie mając widocznie ochoty do rozmowy nawpół śpiący Antoni. Swoją drogą prosiłem go sam, żeby zwolnił, bo zbite podróżą, wagonem i bryczką kości bolały mnie na tych rzucających korzeniach okrutnie.

Zresztą droga przez las była w całem znaczeniu tego słowa przyjemną. Chłodno było, zielono, pachnąco, po drzewach roiło się ptakami, cieszącymi się jak ja tym cudnym rankiem letnim. Inne lasy, które zwiedzałem później, były przeciwnie zupełnie martwe i milczące i w żadnym nie widziałem tyle rozmaitych ptaków co wtedy. Niestety nie umiałem czytać w tej wspaniałej księdze przyrody, otwartej szeroko przedemną i myślałem raz jeden więcej, czy nie użyteczniej byłoby umieć zdawać sobie sprawę z tego co żyje i otacza nas, niż mieć to poczucie, że dziesięć lat strawionych w gimnazyum nie pozostawiło nam nic oprócz imion autorów, nieżyjących od wieków.

Fauna była tu odmienną, dużo ptaków było mi nieznanych zupełnie. Pierwszy raz widziałem tu dużego dzięcioła czarnego, który w Królestwie należy do rzadkości, a na Litwie spotyka się stosunkowo często. Pytałem Antoniego o nazwiska nieznanych mi ptaków, ale niestety, niektóre tylko pospolitsze umiał nazwać i to w gminnem narzeczu.

Z lasu wyjechaliśmy na łąkę, przez którą rzucona była długa grobla. Pomimo, że to była połowa lipca, pomimo, że trawa była na podziw bujna, łąka nie była nawet ściętą. Tą łąką wjechaliśmy znowu na pole piasku, minęliśmy kilka wsi i zaścianków, zamkniętych kołowrotami i bramą — nakoniec dobrze w południe zajechaliśmy przed stary dwór w S..

Na ganku przywitała nas cała zgraja psów gończych i ogarów z takim zajadłym hałasem i naszczekiwaniem, że obawiając się o Black'a i o własne łydki, nie śmiałem zejść z wózka. Na hałas jednak wyszedł mój kolega, psy odpędził i przywitawszy mnie serdecznie, prowadził do stołu...

Obiad składał się z potraw czysto miejscowych; więc zaczęliśmy od starki pamiętającej jeszcze dziada gospodarza, którą zagryźliśmy kumpią w jałowcu wędzoną. Potem szedł chłodnik, kołduny, a skończyliśmy kisielem ze śmietaną. Menu tego obiadu było dowodem uprzejmości ze strony gospodarza, który wiedząc, że kocham się we wszystkiem, co charakterystyczną, miejscową nosi cechę, czysto litewskim chciał mnie ugościć obiadem...

Po obiedzie, przy kosmopolitycznej kawie i zamorskich likierach, rozmowa zeszła na polowanie, jako przedmiot najwięcej nas w danej chwili zajmujący. Wszyscy jednogłośnie potwierdzili, że zwierzyny dużo, bo lęgi były dobre i wiosna pomyślna. Mój kolega chciał, żebym odpoczął po podróży jeden dzień, lecz protestowałem przeciwko temu z całej siły, nie chcąc tracić drogocennego czasu, tem bardziej, że dłużej niż pięć dni nie mogłem zostać. Postanowiliśmy zatem jechać tego samego dnia i chodziło tylko o wybór miejsca.

Na radzie wojennej, do której wezwanym został i stary Jan, postanowiono wyprawę do Wodziszek, małego zaścianka utopionego wśród lasów, odległego od S. o piętnaście wiorst, litewskich naturalnie, co do których nie robiłem sobie złudzeń.

Rozeszliśmy się po objedzie, ja spać, a moi towarzysze przygotować wszystko na kilkodniowy pobyt w puszczy, gdzie wyżyć potrzeba było zabranymi z domu zapasami, gdyż oprócz wody, drzewa i nie zawsze mleka, dostać nie można było nic. Zabieraliśmy więc samowar, kosz pełen rozmaitych wędlin, serów, zimnego mięsiwa i t. p. i drugi mniejszy koszyk, z którego wyglądały szyjki cześć budzących gąsiorków. Jechał nawet worek z ospą owsianą dla naszej psiarni, strawa, na którą popsuty miejską kuchnią Black godził się dopiero ostateczną przyciśnięty potrzebą.

Wstałem dobrze z wieczora, wypoczęty i gotów do drogi. Słońce było już nisko, ruszać mieliśmy zaraz. Przed dworem stała już długa, łubiana bryka, wyładowana z czubem, bo przezorny Jan zabierał nawet koce do leśnych noclegów. Dokoła bryki kręciły się miejscowe wyżły, niespokojnie patrząc w oczy Janowi, jakby wyrozumieć chciały, co znaczą te przygotowania i czy one także w nich wezmą udział?

Z trudem usadowiliśmy się we trzech z psami na trzeszczących koszach, nie wiedząc co robić z nogami, na które już nie było miejsca. Ale najgorzej ruszyć — później już się jedzie i dojeżdża do celu. Początek podróży był opłakany, bo psy, nie zrobiwszy wczesnej znajomości, kręciły się i gryzły ustawicznie, depcąc nas po nogach. Jechaliśmy ciągle prawie lasem, więc z chwilą, kiedy zmrok zapadł zupełny, bryczka podskakiwać zaczęła po pieńkach, których w ciemności niepodobna było widzieć i wymijać. Nie omyliły mnie przeczucia co do długości zapowiedzianych piętnastu wiorst. Podobnie jak z rana rozciągały się one straszliwie i straciłem w końcu nadzieję, czy wogóle dojedziemy. Swoją drogą nie nudziło mi się jak rankiem, bo wspomnień mieliśmy wspólnych dużo i rozmowa szła ożywiona. Od czasu do czasu w głuchym borze zaświecił szmat uprawnej ziemi, zaszczekał z daleka pies na zaścianku i znów ogarniał nas chłodny las. Czasem mijaliśmy mniejsze pólka wyrąbane w lesie t. z. „pasieki", posiane gryką albo owsem.

Koło dziesiątej czy jedenastej wjechaliśmy na większe pole, na którem z daleka błyszczało światełko pod lasem. Konie parsknęły, czując bliską stajnię, zaszczekały psy na obcych — byliśmy u celu. Bryczka podskoczyła jeszcze razy kilka na pniakach i wjechaliśmy do zaścianku. Brata szlachcica, na którego gościnność i dach liczyliśmy, nie było w domu, założyliśmy więc obóz pod ścianą lasu, przy szopie z sianem, w której umieszczone były nasze konie. W izbie gorąco było zresztą nie do wytrzymania i roje much. Drzewa nie brakowało, więc buchnął za chwilę napalony przez Jana ogień, a z pękatego kosza sypać się poczęły jak z rogu obfitości, drób na zimno, wędliny, sery i t. d. Za

chwilę i samowar był gotów; wychyliwszy więc po tęgim kielichu starki, siedliśmy do kolacyi.

Te wieczerze przy ognisku, będące zarazem dobrze zasłużonym wypoczynkiem po całodziennych trudach, zapisały mi się głęboko w pamięci i pozostaną jednem z najmilszych wspomnień tego krótkiego leśnego życia. Kiedy ogień rozświecił stare jodły, zwieszające brodate gałęzie nad naszemi głowami, wyglądało nasze koczowisko jak obóz cyganów albo zbójców z operetki. Pół siedząc, pół leżąc rozkładaliśmy się z psami dokoła ognia, a kiedy minęło pierwsze zmęczenie i głód był zaspokojony, słuchaliśmy w późną noc opowiadań starego Jana.

Naturalnie w takiem otoczeniu i towarzystwie nie można było mówić o niczem jak o polowaniu. Sypały się więc jak z rękawa historye i anegdotki. Mnie przypadała mało zaszczytna ale wygodna rola słuchacza, bo nie śmiałem zabierać głosu tam, gdzie co chwila mówiono o łosiach, rysiach i niedźwiedziach. Nie dawniej jak ostatniej zimy, stary Jan, którego imię powtarzać będę musiał coraz częściej, zabił dwa rysie, obtropiwszy je na ponowie i zapędziwszy gończemi na drzewo...

„Pan Jan“ jest to jeden z tych typów, których synowie nasi znać już nie będą, bo giną razem z puszczami i grubym zwierzem, starte kulturą z oblicza ziemi. Syn zaściankowego szlachcica, rodzony syn tych puszcz, które kocha i zna na pamięć. Po ojcu zostało mu kilka włók spuścizny i mały folwareczek. Nie długo jednak cieszył się swym dobytkiem, bo stale przekładał pobyt w lesie pad gospodarkę, a fuzyę częściej miewał w ręku niż pług albo kosę. Źli ludzie twierdzili, ale któż bo niema niechętnych! że do szynku zaglądał pan Jan za często, święcąc w dobranem gronie myśliwskie tryumfy. Słowem poszła ojcowizna, a Jan wstąpił w służbę do ojca mego kolegi w charakterze trochę strzelca, trochę sługi, a trochę przyjaciela, bo i nieboszczyk namiętnym był myśliwym.

Służył stary im wiernie, odbywał ze swym panem dalekie podróże, cierpiał nędzę nawet dla drogiego pana. Kiedy na obczyźnie przyszła choroba, strzegł pana jak oka w głowie, pochował go, a powróciwszy do starych kątów, niańczył młodego panicza. Stąd stosunek Jana do mego kolegi innym był, niż zwykle sługi do pana. Zresztą był to bywalec, dużo widział, dużo cierpiał, więc odgrywał często rolę mentora wobec młodego dziedzica, któremu często rżnął prawdę w oczy. Koniec zimy i wiosnę spędzał Jan pod dachem, przy kominie, bo męczyły go reumatyzmy i w lesie nie było co robić. Nie lubił towarzystwa przeciętnych, pracujących ludzi, zazdroszcząc im może trochę własnego kąta i niezależności. Tęsknił wtedy za swobodą i bywał podobno zrzędnym i ospałym. Latem, chcąc coś robić, dąglądał niby roboty w polu. Wyglądał przez ten czas przymusowego bezrobocia staro i chodził zgarbiony. Lecz kiedy w lasach pożółkły liście i jesienne mgły zawisły nad rojstem, kiedy młody pan przyjechał z zagranicy na koniec uniwersyteckich feryj — stary Jan zmieniał się jak dotknięty różczką czarodziejską. Skulony grzbiet prostował się, oko nabierało blasku i budził się dawny „Jaś“, dzielny strzelec, trochę kłusownik a trochę zawicrucha skory do kieliszka.

Knieja była jego żywiołem, w niej żył dopiero naprawdę. Nikt nie wiedział lepiej niż on, gdzie może „stać“ łoś, gdzie tokowiska głuszców, gdzie najlepiej ciągną słonki. Od pierwszego wejrzenia zrozumiałem, co może być warta przyjaźń takiego leśnego wilka na polowaniu, i wszelkiemi siłami starałem się pozyskać jego względy. Byłem na tyle szczęśliwym, że udało mi się to w zupełności, a korzystałem oprócz tego z przywilejów gościa, któremu Jan pragnął dobrze przedstawić knieje i litewskie polowania, więc opływałem jak pączek w maśle.

Prowadził mnie w miejsca, gdzie spotkać można było głuszce, wołał mnie rozbiwszy stadko cietrzewi, do których strzelaliśmy pojedynczo, wskazywał błotka, na których siadywały dubelty — a wieczorem, kiedy zmęczeni, wynurzani w błocie wracaliśmy do koczowiska, ledwie powłócząc nogami, opiekował się mną jak niańka. Były to chwile, w których stary Jan zdumiewał mnie swą żelazną wytrzymałością. Chodził w ciągu dnia tyle co inny a może nawet więcej, nosił sążnistą torbę wyładowaną zwierzyną i na wieczór, kiedy mój kolega i ja wyciągaliśmy się bez duszy na sianie, nie mając sił nawet na zmianę bielizny i umycie się, Jan znajdował jeszcze dość energii, żeby rozpalić ogień, nakarmić ludzi i psy, wypatroszyć zwierzynę i urządzić nasze posłania.

Był on istną opatrznością naszej wyprawy. Bez niego groziły nam niewygoda, głód i zniechęcenie na każdym kroku. On był duszą i sprężyną naszego leśnego życia. On myślał o wszystkiem i robił za wszystkich, a załatwiwszy bieżące sprawy, zasiadał obok nas u ogniska, i jeżeli sen nie skleił nam tymczasem oczu, opowiadał dzieje otaczających nas lasów i dawnych polowań. Być może, że w innych warunkach, w codziennem zwyczajnem życiu, byłby mi się Jan wydał trochę kłamcą i próżniakiem, ale tu, zdaleka od wszelkiej kultury, wśród lasów, był on typem nieporównanym, stanowił sam przez się jedną z najciekawszych stron moich wrażeń.

Kiedy po dziennym trudzie zasiedliśmy dokoła ogniska, rzucającego krwawe blaski na bliskie jodły, stare i zgarbione, jakby zdziwione, kto przyszedł kłócić ich wiekowy spokój i sen nocny, wtedy stary Jan był w swoim żywiole i zaczynał opowiadać. Czem dla stepu ukraińskiego lirnik, śpiewający dzieje szlaków i kurhanów, tem był dla kniei litewskiej ten stary brodaty strzelec. Jak bard śpiewał nam co wieczór historyę tych lasów, tych głębi, w których snuliśmy się jak banda cyganów, opowiadał ich chwałę i leśne dramaty, które miały miejsce i w których sam czynny brał udział. Nasza gromadka, rozłożona dokoła ognia wśród lasu, przypominała mi sceny z „Wolnego Strzelca“ — tylko tu sam byłem aktorem i bawiło mnie to leśne życie i opowiadania nieskończenie więcej, niż najwspanialszy teatr. Nasze gawędy ciągnęły się często w późną noc. Księżyc był w pełni, wschodził późno i często wytaczał się wysoko nad czarny las, a my siedzieliśmy dokoła gasnącego ogniska zasłuchani w opowiadanie starego myśliwca i czekaliśmy, aż świt zapędził nas do szopy na siano.

(Dok. nast.)

Szkice z podróży i polowań w Afryce

przez

Antoniego Pisulińskiego.

(Ciąg dalszy).

Poniedziałek 20. lipca. Jesteśmy już na innem miejscu — nad samem Riwi - Riwi. Ocieniony wysokiemi drzewami brzeg nadał się doskonale do założenia obozu. Trzcin dokoła nie było, a woda sączyła się łożyskiem; nie trzeba było zatem zbierać jej w doły, ani też szukać w zagłębieniach, pod skałami. Śladów zwierzyny mniejszej mnóstwo, a nawet jeden dość świeży ślad stopy słoniowej. Bawoły, których tu w okolicy jest bardzo wiele, zdają się w tem miejscu mieć swoje nocne *„rendez-vous"*.

Jeszcze słońce nie doszło do zenitu, a byliśmy już urządzeni na nowem naszem śmiecisku. Plac dokoła z traw oczyszczono, tu i tam obarykadowano gałęziami — namiot ustawiono w środku, oraz małą chatkę na bagaże. Martinio znalazł też doskonałą kryjówkę dla swej kuchni, bo pomiędzy korzeniami jakiegoś bawełnika - staruszka — i wkrótce podał obiad, jakiego dawno już nie jadłem. Potrawka z „Nowali", zaprawiona pomidorami i tutejszą papryką, zwaną „piri-piri" — była doskonałą, jak również harbuzy, które, jak podejrzywałem, skradziono z ogrodów w Utali. O ryżu też wspomieć się godzi, bo udał się znakomicie, a nie jest to rzeczą łatwą ugotować tę strawę, jak należy. W specyalności tej są tylko kucharze indyjscy mistrzami.

Po południu strzelcy moi poszli na zwiady; ja pozostałem w obozie, gotując nogi na dzień jutrzejszy.

Wieczorem odbierałem raporty. Namondi opowiadał mi o bawołach, które widział nad jeziorem — Kaniole o stadach „Nowali" — inny o żubrach i dzikach, a Antonio, smakosz, o pantarkach, które — jak twierdził -- same się proszą, aby je strzelać. Zdaniem jego, jestto najlepsza zwierzyna, nawet smaczniejsza od koziny, którą w jego kraju uważają za szczyt doskonałości.

Tylko o słoniach nic się dowiedzieć nie mogłem, i to mnie całkiem nie pocieszało. Mimo zapewnień obu strzelców i Antonia, że je natychmiast znajdziemy, gdy tylko o dobrych przewodników się postaram, nie miałem wielkiej nadziei, że tak się stanie. Należało jednak w każdym razie wyczekać, a przewodnicy, którycheśmy się spodziewali z nad Sziry, mieli przyjść nazajutrz.

D. 21. lipca. Ku zdziwieniu memu dwóch przewodników Angonich zjawiło się w obozie jeszcze przed wschodem słońca. Mogło to być około godziny 6-tej. Było mglisto i chłodno, co się zowie. Zanim wszystko do drogi przygotowano, t. j. zanim Namondi rozdał broń młodszym strzelcom, zanim poodmierzał ładunki, zanim zjedli naprędce zgotowaną lemieszkę — upłynęły dwie godziny. Potem rzuciwszy nieco mąki „Muzimowi"[1]) dla zażegnania możliwych czarów, ruszyliśmy z biegiem Riwi - Riwi po brzegu tegoż strumienia.

Po drugiej stronie palą się trawy. Ognia wprawdzie nie widać, ale strzępy spalonych liści i traw padają nam na głowy i twarze, a zapach dymu napełnia powietrze. Słońce — bardzo podobne do księżyca — spogląda na ziemię żółtem okiem, rzekłbyś przez szkła okopcone. Po całej atmosferze rozpływa się jakaś świetlistość niepewnego koloru — nieprzyjemna dla oka i przygniatająca. Zapewne ogień pochodzi jeszcze z nocy, gdyż dokoła ścieżki, którą idziemy, wszystko pokryte rosą — więc nie zajęłoby się rychło.

Droga, którą wybrali Angoni, była fatalną. Zrazu szliśmy wzdłuż strumienia lub łożyskiem tegoż — o ile to było możliwem — po godzinie jednak marszu opuściliśmy tę dróżkę, i kierując się ku północy, weszliśmy w gęste krzaki. Tu doprawdy brała rozpacz. Traw wprawdzie nie było, bo krzaki zanadto były ściśnięte, ale też i dla nas nie wiele pozostawało miejsca, aby się przez nie przecisnąć. Zginaliśmy się we dwoje, i w takiej pozycyi przesuwaliśmy popod dzierzące się w objęciach kolczaste zarośla. Od czasu do czasu i ten sposób maszerowania okazywał się niedostatecznym, i musieliśmy albo raczkować, albo sunąć się na brzuchach.

Jak długo trwał ten pochód, oznaczyćby trudno, ale gdym wylazłszy z zarośli na wolnem miejscu się wyprostowywał, miałem wrażenie, jak gdyby mi ktoś pałką kręg pacierzowy przetrącił.

Wolne to miejsce, na którem znaleźliśmy się obecnie, wspaniałą było doliną. Zamknięta dokoła lasami, świeciła powierzchnią małego jeziora, nad którem rosły lasy trzcin i papyrusów. Przestrzeń między trzcinami a lasem była zupełnie wydeptaną, a śladów, nie setki, ale całe tysiące widniały na miękkim gruncie. Miejsce to wyglądało jak zagroda, z której niedawno wypuszczono bydło. Niestety zwierza na razie żadnego tam nie dostrzegliśmy.

Angoni zmęczeni, czy też gwoli zażycia tabaki, zatrzymali się na kraju zarośli, a usiadłszy w kuczki, wydobywać jęli z tykwowych tabakierek ukryty tamże specyał. Nacieranie nosa zabrało sporo czasu, bo aby zażyć tabakę racyonalnie, należy takową dokładnie w nos wetrzeć, robili zaś to z takiem namaszczeniem, jak gdyby losy naszej wyprawy od wypełnienia tego aktu zależały. Potem podnieśli się z godnością i oświadczyli, że możemy iść dalej.

Kiedyśmy ruszyli z miejsca, wiatr zawiał z poza pleców, i przekonał, iż fałszywy obraliśmy kierunek. Jeżeliby jaka zwierzyna była w trzcinach, mogła nas łacno zwietrzyć — i umknęłaby, zanimbyśmy się na odległość strzału zbliżyli. I tak się stało.

Podczas gdy jeden z strzelców sypiąc piasek z dłoni, konstatował kierunek wiatru — gromadka bawołów z łoskotem wypadła z trzcin i przegalopowała w nieładzie przed nami, na odległość kilkuset kroków. Tuż za nią pomknęły jeszcze dwa dziki, zwane „Ndżiri", gatunek, który tu po raz pierwszy obserwowałem.

Do bawołów strzelać było niemożliwem, zostawiłem też ich w spokoju, chociaż przyznam, że mię do tego wielka chętka zbierała. Ale żem się wybrał na słonie, trzeba więc było oprzeć się tej pokusie, i zachować się spokojnie. Powędrowaliśmy więc dalej w cichości, okalając jezioro wielkiem półkolem z zamiarem dostania się na przeciwną stronę.

[1]) „Muzimu" — duch opiekuńczy.

Około południa byliśmy już na drugim brzegu. W tym czasie odnaleźliśmy jeden wczorajszy ślad słonia, który nam mówił, że gruboskórzec ten tutaj pragnienie swe zaspakajał. Ponieważ nie było śladów świeższych, poszliśmy za tym.

Ślad ten zaprowadził nas daleko. Najpierw w bagno, potem w trzciny, następnie w las, gdzie znowu dostaliśmy się w kolczaste gąszcze, i musieliśmy raczkować, lub sunąć się na brzuchach. Ale koniec końcem — odkryliśmy ślad świeższy.

Gromadka słoni z pięciu sztuk złożona przecięła dotychczasową naszą drogę. Ślady były tak widoczne, że ja — chociaż nowicyusz — uznać musiałem, iż zwierz tędy nie dawniej jak przed godziną przeszedł.

Takie odkrycie zelektryzowało moją osobę. Jak dotąd, szedłem zamyślony, niewiele zwracając uwagi na to, co się naokół działo — teraz najmniejszy szczegół, mówiący o bytności tych zwierząt, najmocniej mię zajmywał. Po tak namacalnych dowodach, jak: niedojedzone gałązki, świeżo odarta kora, której łyko jeszcze nawet nie ściemniało, lub wyrwane z korzeniami drzewka — wierzyć musiałem, że słonie są tu gdzieś w bliskości. Byłem zatem w naprężeniu. Pas z nabojami do ósemki wdziałem na siebie, a chłopak niosący karabin słoniowy, dostał rozkaz nie odstępywać mię ani na krok.

To też teraz już nie szliśmy śladem, ale prawie biegli ile sił starczyło. Porwany nadzieją rychłego ujrzenia zwierząt, za któremi tak daleko się wlokłem, zapomniałem zupełnie o zmęczeniu i głodzie. Nawet atmosfera duszna z powodu spieki i dymów wydała mi się teraz znośniejszą. I kłusowałem szybko za Namondim, prawie mu następując na pięty.

Tak goniliśmy godzinę jedną i drugą — słoni nie widać. Znaleźliśmy się wreszcie nad jakiemś bagienkiem. Tu grunt miękki zachował dokładnie odciski naszych zbiegów w kształcie ogromnych dziur, głębokich na stopę lub dwie. Gdym się im przypatrywał, zastanawiając się nad tem, jak te ciężkie zwierzęta w tak grząskim gruncie swobodnie poruszać się mogły, Namondi dawał mi mały wykład o tropieniu. Pokazywał mi, jak można odróżnić ślady krów od śladów samców, oraz jak oznaczyć kierunek ich pochodu na terenie nieporosłym. Naturalnie na razie z tego wszystkiego niewiele zrozumiałem, a co mi utkwiło w pamięci, to jedynie te ogromne formy odcisków, z których jedne były mniejsze, drugie większe.

Jeszcze godzinę wlokłem się po śladzie; wreszcie sił mi zabrakło i postanowiłem powracać. Maszerować przyspieszonym krokiem przez kilka godzin bez przerwy może umęczyć i konia. Głód począł mi także dokuczać, a słońce chyliło się ku zachodowi. Zostawiwszy więc strzelca i kilku chłopaków, aby dalej prowadzili robotę, wziąłem się do odwrotu.

Dopiero późną nocą stanęliśmy w „moasie“ [1]), i to tylko dzięki Angonim, którzy raczej węszyli kierunek, niż go widzieli oczyma. Całą drogę najadłem się strachu nie mało, bo błądząc wśród gęstwin i zarośli, mogliśmy łatwo zetknąć się z lwami, a takie zdybanie się przy lichem oświetleniu księżycowem, nie bardzo być musi bezpiecznem.

D. 22. lipca. Zmęczenie, jakiego doznałem wczoraj, sprawiło mi sny niepokojące. Całą noc polowałem — to na słonie, to na lwy — a sytuacye, w których się znajdywałem, nie były pozazdroszczenia godne. Dziwne także, że gdy wśród tych majaczeń się obudziłem, słyszałem najwyraźniej ryk lwa, zamierający pośród ciszy nocnej. Wybity ze snu, długo jeszcze usnąć nie mogłem, aż zimno, zapowiadające ranek, uspiło mię powtórnie.

Dzień nastał spokojny — jasny. Mgła wcześnie już opadła i dymy z wczorajszych ogni się rozeszły. Powietrze zdawało się być więcej przeźroczystem, niż zwyczajnie. Cisza panowała dokoła, bo wiatr zamarł gdzieś wśród puszczy, a drzewa stały nieruchome, niby skamieniałe. Ani śpiewu ptasząt, ani gruchania turkawek, ani szczekania rybitw — głucho, jakgdyby śmierć położyła rękę na całej okolicy. Czasami tylko dochodziło nas stłumione hukanie sępa-indora, ale było ono tak dalekie i niewyraźne, że wydało nam się w końcu przesłyszanem.

Ranek spędziłem w obozie, oczekując powrotu ludzi, których wczoraj zostawiłem na tropie słoni. Minęło południe — nie wrócili.

Po obiedzie wybrałem się w las za mniejszą zwierzyną, a rezultatem były trzy głowy „Nowali“, które w tryumfie do obozu przyniosłem. Przy tej sposobności przekonałem się, że karabin mój Martini Henry — lubo do polowania zastosowany — strzela za wysoko, tak, ze pierwsze trzy strzały, na dość blizką odległość, poszły w krzaki. Dopiero po długiem uganianiu za stadkiem, dopadłem takowe na otwartej polance, a strzelając na sto pięćdziesiąt, lub sto ośmdziesiąt kroków do trzech kozłów, ubiłem wszystkie trzy pojedyńczymi strzałami.

Pod wieczór mięso było już w obozie, a Mangandżowie zabrali się z całą werwą do krajania i jedzenia. Wszystkie części środkowe gotowano na zupę, mięso lepsze pieczono na patykach, części zaś boczne, pocięte w długie pasy, suszono nad ogniem. Ja preparowałem rogi, które, nawiasem mówiąc, są prześliczne. Skórkami miał się zająć Antonio, ale dopiero nazajutrz, bo do tego trzeba mu było słońca, a dzisiejsze — już na zachodzie. Tymczasem wiszą sobie spokojnie na gałęziach, wabiąc do obozu miliony much, ktorym opędzać się trudno.

Wreszcie noc nadeszła, a obóz zajaśniał światłem licznych ognisk. Gromadka moja znów obsiadła garnki, i rozpoczęła się rozmowa namiętna i krzykliwa. Nawet Antonio dał się wciągnąć do niej, i z dumą opowiadał młodszym adeptom sztuki myśliwskiej o swoich tryumfach z dziedziny polowania. Między innemi opowiadał o wypadku z życia niejakiego p. Rhodes'a, dawnego swego chlebodawcy, z którym przed laty kilku polowali byli na słonie w kraju Makololów.

Opowiadanie to jego zaintrygowało mię bardzo, więc przysłuchiwałem mu się uważnie, a spodziewając się, że i was zajmie — powtarzam je tutaj o ile spamiętałem. Rzecz tak się miała:

Razu pewnego, gdy polowali na słonie nad dolną Szirą, właśnie na owych wyżwzmiankowanych „Elephant-marches“, p. Rhodes postrzelił ogromnego samca. Słoń ten, który już samą wielkością swoją przewyższał wszystkie dotąd widziane egzemplarze — posiadał kły, jakich Antonio nigdy przedtem nie widział, i jakich nigdy więcej w życiu oglądać nie miał. Zdaniem jego, kły te grubością swoją przechodziły grubość zwykłego człowieka, a sięgały aż do ziemi, i były czarne od starości. Słoń ten po strzale umknął do lasu, i tam im zniknął z oczu, prawdopodobnie tyle sobie robiąc z kulki p. Rhodes'a, co z ukąszenia muchy. Nie mieli też nadziei, że już go więcej obaczą. Ale słoń nie poszedł daleko. Wpadłszy w las, zatrzymał się w gęstwinie, oczekując przeciwników. Ci wkrótce tam się zjawili.

[1]) „msasa“ — obóz.

Rhodes, który się ogromnie zapalił do tego słonia, gonił jak opętany; Antonio był tuż za nim. Ledwie się znaleźli w krzakach i na nic nie baczni, jęli szukać za śladami, wypadł z gąszcza słonisko. Prawdopodobnie już ich był dawno zwietrzył, gdyż wprost na nich uderzył. Z trąbą naprzód wyciągniętą, z uszami nastawionemi i ogonem podniesionym wyglądał jak furya. Rhodes, który był bliżej słonia, stracił głowę. Zamiast strzelić, rzucił karabin i ucieka. Potknął się jednak na korzeniu i jak długi na ziemię przewalił. Słoń zgłupiał. Miał już prawie chwycić zbiega, gdy mu ten raptownie zniknął z przed trąby. Zatrzymał się w biegu. Pozycya teraz przedstawiła się taka: Pan Rhodes leży plackiem tuż przed słoniem, przednie stopy słonia prawie dotykają leżącego, kły niemal zaczepiają o kaftan jego wełniany, trąba zaś, która porusza się w nerwowych ruchach ponad głową, zdaje się go szukać.

Rhodes nie dawał znaku życia. Czy umarł? Antonio tego w tej chwili nie wiedział. Siedząc w pewnej odległości za drzewem, drżał o swoje życie. Strzelić — ani mu przyszło do głowy.

Tak minęła minuta — dwie - trzy — słoń stoi ciągle. Ale stanie i słoniowi sprzykrzyć się może. Począł więc tupać nogami i kwiczeć jak prosię. Następnie, zerwawszy kilka krzaczków z pobliża, rzucił je pod stopy, tupnął raz jeszcze i myśląc prawdopodobnie, że już zgniótł napastnika, zabrał się do odejścia. I znikł wkrótce w gęstwinie.

Teraz dopiero odetchnął Antonio. Żal mu się zrobiło za „Muzungiem“, który przecież nie był najgorszym z białych i robił sobie wyrzuty, że nie odpędził słonia strzałem. „Ale jak chcecie“ — tłumaczył się przed gromadą — „do muzima[1]) przecież strzelać nie mogłem“. Pana swego nie spodziewał się więcej ujrzeć żywym.

Na szczęście jednak słoń nie nadeptał Rhodes'a. Znalazł go Antonio omdlałego pod warstwą liści i gałęzi, pod któremi tenże go pogrzebał i tarciem przyprowadził do przytomności.

Całe to zajście miało tylko tę niefortunną stronę, że p. Rhodes złamał kolbę u karabina i nie mógł już dalej prześladować słonia, z czego Antonio był nader kontent, bo powrócili zaraz do obozu, a nazajutrz do wsi.

Głośnem Aaa! zakończyli słuchacze ciekawe to opowiadanie, poczem każdy klasnął raz lub dwa razy w dłonie, dziękując tym sposobem opowiadającemu.

Życie w obozie ma wiele powabu i gdyby był towarzysz, z którymby można podzielić się wrażeniami, czas schodziłby bardzo przyjemnie. Niestety, dobry towarzysz w polu, to ptak bardzo rzadki. Trudno znaleść człowieka, któryby niewygody, przeciwności i niebezpieczeństwa zawsze z równym znosił umysłem, jeszcze trudniej takiego, któremuby polowanie, w jakiej ono tylko formie się przedstawi, było pożądanem. Wszelkie gderania i krytyki prowadzą do sporów; następuje rozdwojenie, a życie pod jednym namiotem staje się niemożliwem. Prawdziwy myśliwy poluje sam z swoimi murzynami.

D. 26. lipca. Już kilka dni nic nie notowałem w dzienniku. Jakaś dziwna apatya mną owładnęła; nie byłem zdolny do żadnej innej pracy, jak do łażenia za słoniami, które już także w głębi serca przeklinałem. Każdego poranku jeszcze przed wschodem słońca mnie budzono, a Martinio wsuwając głowę do namiotu i ciągnąc za koniec koca, recytował: Muzungu namukani, kofi umala[2]).

[1]) muzimu — duch.

[2]) Muzungu namukani, kofi umala — Biały wstawaj, kawa już gotowa.

Zastawałem już kawę zgotowaną, a strzelców i przewodników czekających na mnie. Na poły zmarzły, na poły zmęczony, wyłaziłem z pod ciepłych koców i uskuteczniałem operacyę ubierania się i mycia w atmosferze nie zbyt ogrzanej. Wprawdzie ognie były na podorędziu, ale nie było czasu na wygrzanie się, bo świt się robił i trzeba było ruszać w drogę.

W czasie tego kilkudniowego uganiania po śladach, nabrałem ogromnego respektu dla słoni. Nie mogłem nie zauważyć ich przezorności, cechującej wielką inteligencyę, oraz sposobu życia, który mówił dokładnie o tem, że stoją wyżej od innych zwierząt. Dość było iść czas dłuższy jedną z tych dróg, które one wydeptują po górach, aby się przekonać, jak zdolni są z nich inżynierzy. Drogi takie, to prawdziwe gościńce. Szersze od zwykłej ścieżki murzyńskiej, zupełnie z trawy wydeptane, a prowadzące przez najlepsze przesmyki, najodpowiedniejsze brody, serpentyną pod górę, a po nich najrówniejszymi grzbietami.

Słoń, który tylko w człowieku ma nieprzyjaciela, (lwy bowiem rzadko go zaczepiają, nosorożec zaś nie wiele ma szans zwycięstwa) jego się obawia i z nim się tylko liczy. Od czasu gdy broń palna po całej Afryce się rozeszła i dała czarnym możność łatwiejszego ubijania grubszej zwierzyny, spokój dla słonia minął bezpowrotnie. Dawniej — jak mi starsi czarni opowiadali — słoń kładł się do spoczynku jak każde inne zwierzę, jak nosorożec lub hipopotam. Odkąd go jednak zaczęli prześladować dla zysku, słoń nie spi inaczej, jak w postawie stojącej, co najwięcej oparty czołem o pień drzewa lub skałę. Ale i podczas najgłębszej drzemki czuwa on. Trąba jego jest zawsze na straży. Najlżejszy powiew wiatru chwytanym bywa w te ruchome nozdrza, zazwyczaj ponad głową spoczywające, a obecność człowieka odczuta na ogromną odległość. Po skonstatowaniu niebezpieczeństwa już nie ustoi na miejscu. Jeśli był w stadzie, w jednej chwili całe towarzystwo zostało zaalarmowanem i wynosi się co prędzej. Umią też maszerować doskonale; doświadczyłem tego na własnych nogach.

Polowanie na słonia zatem, od czasu gdy go tak prześladują, nie należy do zadań zbyt łatwych. Spotkanie się na oko z tym gruboskórcem jest tylko dziełem przypadku. Zazwyczaj trzeba go tropić, łazić za nim dniami, przebywać okolice i zaułki, któremi on się przekrada, dopóki się go na strzał nie dostanie. Spłoszony nie wybiera drogi, nie szuka gościńców wygodnych, ale przeciwnie wymyka się do najniedostępniejszych miejsc, przez wąwozy, stoki gór, zarośla i bagna. Tym sposobem stara się odstraszyć swego prześladowcę, lub go tak zmęczyć, że ten wreszcie, upadając na siłach, zaprzestaje gonitwy.

Ale i w zwykłych warunkach podróżuje słoń ciągle. Zmieniając miejsce pobytu czy to dla fantazyi, czy to gwoli wyszukania odpowiedniejszych pastwisk lub delikatnych owoców, wędruje z kraju do kraju.

Ponieważ zmysł powonienia jest u słonia nader rozwinięty, a on nim — jak zauważyłem — doskonale posługiwać się umie, dotarcie doń jest tylko możliwem przy bardzo sprzyjającym wietrze. Wtedy, jeśli teren na to pozwoli, a odwagi ci nie braknie, podsuniesz się pod niego na kilkanaście kroków, a nawet bliżej, bo wzrok jego jest tępy i widzi tylko przed siebie. Tak mówią murzyni; ja jednakowoż nie ufałbym wiele temu kolosowi, bo słyszałem o wypadkach, gdzie, lubo nie zaczepiony, atakował zbliżających się ludzi na znaczną odległość.

Aby tropić słonia z dobrym skutkiem, należy mieć długoletnią wprawę. Rozpoznawanie jego śladów nie jest

rzeczą łatwą. Racice antylop i bawołów, kopyta zebry, palce nosorożca i hipopotama uwydatniają się znacznie lepiej na twardym gruncie, aniżeli stopa słonia, która, będąc nieco wypukłą, tylko samym środkiem dotyka ziemi. Do tego słoń stąpa nader delikatnie, a gdy grunt nie jest zarosłym, prawie żadnych znaków po sobie nie zostawia.

Inna rzecz w trawach. Tutaj udeptuje on ścieżkę, gniotąc ją kolosalnemi swojemi stopami, a ta kładzie się w kierunku, w którym od dąży. Ścieżka taka jest już z daleka widoczną i służy często za gościniec tutejszym mieszkańcom. Jedna tylko zachodzi trudność — oznaczyć porę, kiedy słoń tę ścieżkę wydeptał, bo trawa w porze zimowej jest prawie sucha, a ułamana lub zgnieciona nie traci więcej barwy i nie różni się od dokoła stojącej.

Z trawą świeżą jest rzecz łatwiejsza, zwłaszcza gdy wśród niej rosną małe krzaki lub drzewka. Te złamane pokazują na swych złamaniach, jak długo schły i w ten sposób pozwalają oznaczyć porę, kiedy zostały naruszone. Naturalnie, że w każdym wypadku trzeba się liczyć z ciepłotą dnia lub dni poprzednich, oraz z naturą gruntu, na którym to miejsce miało; oczywista bowiem, że na moczarach roślina złamana dłużej zatrzyma wilgoć niż na piaskach lub skałach.

Czarni myśliwi mają do tego zmysł prawdziwie zwierzęcy. Z całą dokładnością oznaczają porę, w której słoń przechodził, a redukują takową do tych wyrażeń: (w dyalekcie Mangandżów) „kali“ — bardzo dawno, „dzana“ — przedwczoraj, „dzulu“ — wczoraj, „lero“ — dziś i „sanapu“ — dopiero co. Ze śladu z dnia dzisiejszego umią też rozróżnić, czy był rano, czy później, a wskazując na „dzua“ — słońce, oznaczają godzinę przechodu zwierza.

Ślad słonia na miękkim gruncie przedstawia się w f rmie dziury okrągłej (stopa nogi przedniej), lub owalnej (stopa nogi tylnej) o średnicy od dziesięciu do piętnastu cali. Widziałem jadnakoważ ślady, które po zmierzeniu wykazały ośmnaście cali. Musiały to być egzemplarze bardzo stare, a więc bardzo rzadkie.

Z wielkości śladu można sądzić o wielkości słonia, z tego zaś o wielkości kłów, jakie on nosi. Według niektórych myśliwych obwód stopy przedniej potrójnie wzięty daje wysokość w łopatce. Jestto bardzo prawdopodobnem, bo gdy n. p. weźmiemy obwód śladu małego słonia o 36 calach, to wysokość w łopatce byłaby stóp dziewięć, co jest zwykłą miarą młodych samców lub krów. Wyrośnięty samiec mierzy do dwanaście, a nawet więcej stóp w łopatce.

Słonie afrykańskie, tak samiec jak i samica, uzbrojone są kłami, różnią się zatem od swych współbraci z Indyi, gdzie tylko przedstawiciele męscy tę broń noszą. Para kłów starego samca dochodzi od stu do trzystu funtów ang. wagi, zaś krów, czyli samic, ledwie trzydzieści lub czterdzieści. W r. 1886, będąc w Quilimane, oglądałem tam parę zębów ważących dwieście pięćdziesiąt sześć funtów. Pojedynczy kieł mierzył dwa i pół metra długości, a u nasady był gruby jak udo tęgiego mężczyzny.

Tego samego wieczora, kiedy ognie przygasać poczęły a ludzie pomęczeni po większej części już spali, zawołałem Antonia na konferencyę. Chodziło mi o porozumienie się z nim, jaką drogę na przyszłość obrać nam należy, aby zetknąć się ze słoniami. Tu nie mieliśmy co dłużej szukać. Brak wody i dzikich owoców były niechybnie powodem, że gruboskórce okolic tych unikały; te zaś które się tędy czasami przemknęły, były tylko rozbitkami z trzód gdzieindziej strzelanych.

Antonio radził, aby tu jeszcze dzień lub dwa pozostać, następnie wypocząwszy, iść w kierunku Zomby, gdzie na stokach tych gór lub w pobliżu jeziora Szirwy słonie znajdować się powinny.

Wywody jego nie były przekonywujące, ale ja nowicyusz w takich wyprawach i pierwszy raz tu polujący na wszystko zgodzić się musiałem. Pozostać nad Riwi-Riwi nie miało celu; przekonałem się o tem łażąc po śladach już dni kilka. Należało próbować szczęścia w innych stronach. Postanowiłem zatem dzień tu przeczekać, a dzień ten miał być poświęcony wypoczynkowi.

(C. d. n.)

Wirginijskie przepiórki.

Myśliwy, który długie lata przebywał we wschodnich Stanach Północnej Ameryki i nieraz z wirginijską przepiórką się spotykał, podał o niej w *Mittheilungen des n. ö. Jagdschutz-Vereines* następujące szczegóły.

„Przedewszystkiem należy sprostować niektóre wyobrażenia o tym kuraku, którego jedni za rodzaj przepiórki, inni za kniejotkę uważają. I jedno i drugie jest błędnem, podobnie jak nieprawdziwem jest przypuszczenie, iż aklimatyzacya tego ptaka jest wszędzie możliwą i łatwą.

Wirginijska przepiórka jest czemś pośredniem pomiędzy kniejotką a kurką polną, i dlatego nie potrzeba jej wielkich kompleksów lasu, jak n. p. jarząbkom — ani też wielkich obszarów bezleśnych. W obu tych ekstremach nie jest do utrzymania — albo się wyniesie, albo zginie. Miejscem jej pobytu w Stanach Zjednoczonych są obszary częścią zalesione, częścią z łąk i pól uprawnych złożone, mające dość wody i łagodne zimy. W okolicach, gdzie śniegi leżą tygodniami i miesiącami, nie może się utrzymać. Z nadejściem zimy widziałem nieraz, jak przepiórki wirginijskie opuszczały zimne, wyżej położone rewiry, przenosząc się do okolic cieplejszych. Ptakami osiadłymi są one tylko w południowej części New-Jersey, w Stanach Ohio, Kentucky i w innych na południe od New-Jersey położonych okolicach; w Pensylwanii, New-Yorku i w angielskich posiadłościach Północnej Ameryki, jest przepiórka wirginijska ptakiem przelotnym. Próby aklimatyzacyjne udają się przeto na obszarach mieszanych, wzniesionych na 800—1000 metrów nad powierzchnią morza, lecz z klimatem nie zbyt ostrym i na glebie nie zbyt ubogiej, dostarczającej dość pożywienia w ziarnach i nasieniu traw, oraz w owadach, bo przepiórka wirginijska nie żywi się wcale pączkami liści drzewnych, jak kniejotki.

Dwie do trzech par przepiórek wirginijskich wystarcza zupełnie, aby chów ich zaprowadzić, gdyż na wiosnę, w przychylnych warunkach, znosi samica 20 i więcej jaj. Nie zdarzyło mi się znaleść w gnieździe mniej niż 15 jaj. Wielkość ich stosuje się do wielkości ptaka; trzyma ono miarę między jajem naszej przepiórki a kuropatwy. Barwa jaj jest blado-żółtawa, niemal biała. Siadło swe umie kwoczka bardzo dobrze ukryć, tak, że tylko przy pomocy wybornego wyżła można je odszukać. Nie wygrzebuje ona, podobnie jak kuropatwa, małego dołka bez wszelkiej podściółki w miejscach, mało co od zboża lub koniczyny zasłoniętych, lecz szuka skrytki pod krzakami, lub między starą zeschłą trawą, i wygrzebaną tam jamkę wyściela starannie. Kogut zdradza nieraz siadło kwoczki tem, że usiadłszy w pobliżu na drzewie, pieje dla przestrogi, wydając głos silny, przenikliwy a brzmiący jak: bob-u-eit! bob-u-eit! — gdy człowiek lub zwierz drapieżny się zbliża. Czy kogut pomaga jaja wysiadać nie mogę powiedzieć z własnego doświadczenia, bo chociaż widziałem nieraz przepiórkę zlatującą z gniazda, trudno mi było rozpoznać czy to był samiec czy samica, gdyż samica różni się od samca tylko nieco przyćmioną barwą upierzenia. Amerykanie mówili mi jednak, że kogut i kura mieniają się w siedzeniu na gnieździe, a jeśli się nie mylę, to sławny Audobon zauważył także to samo.

Myśliwym, którzy nie mieli sposobności polować na przepiórkę wirginijską, podam tu dalsze niektóre szczegóły o tym ptaku. Czoło jego jest białe, po za tem głowa czarna, w tyle brunatna; pod oczami ku podgardlu ciągną się paski czarne, szyja jest brunatna, biało kropkowana, podgardle żółtawe, pierś i brzuch żółtawo - brunatne, kuper popielaty, reszta ciała rudo - brunatna. Kogut różni się od kury tylko tem, że barwa ruda na grzbiecie jego jest żywsza, a podgardle jaskrawo-białe. Nogi są popielato-niebieskie, dziób czarny; barwy te są stałe i nie można po zmianie ich oznaczać wieku ptaka. Mięso tej przepiórki jest białe, delikatne i bardzo smaczne. Polowanie na nią, przy pomocy dobrego wyżła, jest nadzwyczaj zajmujace, gdyż przepiórka wirginijska nie cieknie długo, lecz kryje się przeważnie przed niebezpieczeństwem, tak, że prawie zawsze można przyjść do strzału, skoro ją tylko pies wystawi. Lecz wystawienie właśnie jest rzeczą nie łatwą, bo wyziew przepiórki wirginijskiej zdaje mi się być znacznie słabszym od wyziewu wszystkich innych ptaków. Amerykanie twierdzą, że przepiórka wirginijska może zdradzające ją przed psem wyziewy zupełnie w sobie zatrzymać. Ptaki te, żyjące stadkami, jeśli nie są dla żeru rozprószone, mają zwyczaj kłaść się razem, przyciśnięte mocno do siebie, tworząc niejako promienie koła, a zwrócone kuprami ku środkowi tegoż. Są bardzo płoche i bojaźliwe, umieją przeto przyciskać się do ziemi tak, że nawet na świeżo skoszonej łące trudno je dojrzeć, a w ściernisku nie widać ich całkiem. Cisnąc się do ziemi, przyciskają ptaki również pióra mocno do swego ciała, co rozmiary ich jeszcze zmniejsza, a może i do zmniejszenia wyziewów się przyczynia. Pies, nie mający dobrego wiatru, może parę razy przejść koło spoczywającego w ten sposób stadka przepiórek i wcale ich nie zwietrzy. Rozumie się, że stadko pod wpływem strachu przyciska się bardziej i robi się jeszcze mniejsze, a pies chyba wtedy je wyruszy, gdy na nie nastąpi. Gdy się stadko strzałem do zerwania zmusi, a nie ma w pobliżu zarośli, mogących mu dać schronienie, to stadko, zapadając na polu, tak samo się szykuje i ciśnie, aby być o ile możności niewidzialnem. Jeżeli się wtedy miejsca zapadnięcia dokładnie nie zauważy, to ponowne wyszukanie stadka, choćby w czystem polu, należy do mozolnych zadań. Nie pozostaje wówczas nic innego, jak siąść nieopodal i czekać spokojnie z pół godziny. Po upływie tego czasu, jeśli tylko stadko nie odleciało, zdziwić musi pewność, z jaką je pies, który wprzód nic nie mógł znaleść, zwietrzy i wystawi. Przyczyną tego jest okoliczność, że po upływie pewnego czasu stadko zmienia swe położenie obronne, i ptaki rozchodząc się, stają się łatwiejszemi do zwietrzenia.

Takie przysiadanie do ziemi i przyciskanie się przepiórek do siebie ma miejsce szczególniej wtedy, gdy ptaki są jeszcze młode, lub gdy były już strzałem spłoszone. Zresztą żerujące przepiórki są płoche, i jeśli myśliwy nie ma dostatecznej zasłony, zrywają się przed nim bardzo daleko. Nie wytrzymują również bliskiego wystawiania, skutkiem czego może je pies tylko daleko wystawić, co tylko możliwem jest wyżłowi, mającemu dobry nos. Skoro pies przepiórki wystawi, nie może myśliwy się doń zbliżyć i kazać mu iść dalej, lecz musi stanowisko obejść i stanąwszy dopiero naprzeciw psa, kazać mu zwierzynę wyruszyć. Ten sam manewr wykonywać muszą myśliwi, polując w kilku; powinni zawsze starać się obejść stadko i mieć je w środku. Jeżeli w pobliżu stanowiska są krzaki i drzewa, to ptaki za najlżejszem zaniepokojeniem szukają tam schronienia. To też w miejscowościach takich, na jakich chętnie żerują słonki w jesieni, nie ma się nawet co kusić o strzelanie przepiórek wirginijskich, bo wyciekają nadzwyczaj szybko przed psem i szukają schronienia na drzewach, gdzie ich nie podobna zoczyć, i co najwięcej słyszy się tylko ich przeloty między gąszczem liści i gałęzi.

Pomiędzy wysokiemi trawami jest poszukiwanie bardzo utrudnione; tylko tu i owdzie można przyjść do niepewnego strzału, gdy się przepiórka z pod stóp poderwie. Z małych gajów trzeba się je starać szukaniem i płoszeniem na pole wyprzeć. Dobre psy mogą tu odegrać rolę nagonki.

Pewnego razu, polując na przepiórki wirginijskie z mopointerem Nimrodem, zapuściłem się w dość gęsty gaj brzozowy. Pies szedł przedemną na 10 kroków, buszując między krzakami. Nagle ustał jego szelest. Chcąc się przekonać co to znaczy, spojrzałem i spostrzegłem, że pies coś wystawia, ale z nosem nie ku ziemi, lecz ku gorze zwróconym. Idąc za jego spojrzeniem, ujrzałem pięknego kogutka na gałęzi i ubiłem go siedzącego, gdyż w locie byłby już strzał niemożliwym. Buszując po zaroślach musiałem nieraz zbyt blisko do przepiórek strzelać, ale w takim razie, chcąc mieć przydatną zdobycz, liczyłem głównie na moje szczęście, gdyż niepodobna było wówczas brać ptaka na muszkę; strzelałem tedy ponad niego lub obok, w nadziei, że go jeden lub dwa rozrzucone śruty ugodzą. Nie zawsze mi się to udało, lecz inaczej byłbym miał zawsze ptaka ale strzałem zupełnie rozerwanego.

Niejednokrotnie spotykałem się z opinią, że przepiórka wirginijska jest ptakiem bardzo twardym i silny strzał wytrzymuje. W porównaniu z innem ptactwem łownem w Ameryce, n. p. za słonkami, jestto poniekąd prawdą; co do mnie wszakże muszę zauważyć, że śrutem Natermana Nr. 6 ubijałem przepiórki na miejscu równie dobrze, jak moi zaatlantyccy towarzysze śrutem Nr. 4.

Gdy mój „Nimrod“ zmiarkował, że można przepiórki i na drzewie wystawiać, nauczył się odtąd przeglądać niższe gałęzie drzew i krzaków, a tej chwalebnej cnocie jego zawdzięczam, że często potem zestrzeliwałem z gałęzi nietylko przepiórki, ale także jarząbki. Raz nawet dostała mi się... słonka, ale nie trwóż się miły czytelniku, nie na gałęzi ubita; znalazłem ją tylko, gdy spadając po strzale, na gałęziach zawisła!

Nie wiem niestety z doświadczenia, czy przepiórki wirginijskie przesiadują chętnie na łanach kartofli i buraków; przypuszczam, że tak jest, choć sam nie miałem sposobności szukać ich i znaleść na łanach tego rodzaju, gdyż z dniem 1. października, gdy właściwa pora łowów nadchodzi, nie bywa już kartofli i buraków w polu. Najczęściej spotykałem przepiórki w ścierniskach, na łąkach, na pastwiskach i w gęstych podszyciach leśnych.

Zwierz drapieżny nie wyrządza wielkich szkód między przepiórkami wirginijskiemi i to przemawiałoby za przyswojeniem ich u nas. Lecz zimy! Z powodu zim staje się ptak ten, w posiadłościach angielskich Ameryki — jak to już wspomniałem — tylko ptakiem przelotnym. Gdy tam z początkiem listopada lub w ostatnich dniach października spadną niespodzianie wielkie śniegi, to przez jedną noc giną czasem te przepiórki, które nie zdołały w cieplejsze okolice odlecieć. Dopóki śnieg pada, zbijają się w kupę i pozwalają się zasypać. Jeśli nie ma zawiei, nic to im nie szkodzi, bo taka pierwsza ponowa znika zazwyczaj pod promieniami słońca; ale gdy ze śniegiem połączą się wichry i zawieja potworzy zaspy przy płotach i krzakach, gdzie przepiórki się przytuliły — to giną, gdyż nie są w stanie większej warstwy śniegu przebić. Jeszcze gorzej dla nich, jeśli po zawiei deszcz padnie, a następnego ranka mróz chwyci — co się w Ameryce północnej, zwłaszcza w Stanach nadbrzeżnych często zdarza — gdyż naówczas giną całe stada, nie mogąc przebić utworzonej w koło nich skorupy lodowej. Znajdywałem nieraz zamarznięte i wyduszone stadka przepiórek wirginijskich, nawet takie, które i dwa miesiące pod śniegiem, pozornie bez żadnej zmiany przebyły.

Wnoszę z tego wszystkiego, że chcąc aklimatyzować przepiórki wirginijskie, trzeba być bardzo ostrożnym w wyborze miejsca i mieć wiele szczęścia. Jeżeli po pierwszem zaprowadzeniu przepiórek nastąpi zaraz sroga zima, wyginą one niewątpliwie. Mniemam natomiast, że przebywszy jedną lub dwie łagodniejsze zimy, może się ród ich zahartować i do nowych warunków klimatu przywyknąć.

Lecz choćby się nawet aklimatyzacya powiodła, może niejeden z myśliwych, który więcej emocyi strzałów niż przyjemności prawdziwych łowów pożąda, doznać przykrego zawodu, gdyż polowanie na przepiórki wirginijskie jest zawsze uciążliwe a nie wydatne. Jeśli mi się kiedy udało przynieść 8 lub 10 przepiórek do domu, uważano to za coś nadzwyczajnego; zwykłą zdobyczą myśliwskiej wycieczki bywa 3 do 4 sztuk! Jeden jedyny raz tylko — a było to w okolicy New-Haven koło Danbury — polując cały dzień z setterem rasy Laverack, ubiłem 17 przepiórek. Najprzyjemniejszemi wszakże były dla mnie takie polowania, około mojej farmy, gdzie nie na same przepiórki, lecz także na jarząbki, kaczki i słonki miałem sposobność polować."

Kłopoty z chorą suką.

W berlińskiem „Teckele" zamieścił pewien myśliwy, p. W. Ahlers, następującą korespondencyę, która w wymowny sposób przedstawia kłopoty myśliwskie z psem, znane już niejednemu, lecz jeszcze przydarzyć się mogące.

„W lecie przeszłego roku, w kilka tygodni po rozpoczęciu sezonu polowań błotnych, kupiłem legawą sukę. Przyprowadzono ją do mnie kulawą na jedną z tylnych łap. Zewnętrznego okaleczenia nie było widać. Gdym się dawnego właściciela o powody kulenia zapytał, wyjaśnił, że polował z suką bardzo wiele na kaczki, a że była gorąca i nie szanowała się wcale, musiała więc na coś ostrego nastąpić, albo się na trzcinach skaleczyć. Zewnętrznej przyczyny zakulawienia nie można było jednak wyszukać. Nagle zaczęła suka coraz bardziej kuleć, i w końcu odgryzła sobie dwa pampuszki z podeszwy lewej łapy tylnej.

Począłem tedy wszystkiemi możliwemi maściami chłodzącemi chorą łapę smarować i okładać; dwa razy dziennie obmywałem ją letnią wodą karbolową, znowu smarowałem, zasypywałem i obwiązywałem z chirurgiczną starannością.

Pomimo swego kalectwa, była suka wesołą i pełniła z obandażowaną łapą służby swe wybornie przy polowaniach na kuropatwy. Lecz przebiegając przez wilgotne łany kartofli i łubinu, lub przy aportowaniu kaczek na błotach, zozluźniały się bandaże i musiałem je na nowo zakładać. Wreszcie zgubiła raz suka cały bandaż, a mimo to szukała i wystawiała niezmordowanie, gdyż unosił ją temperament i zapomniała o swem kalectwie. Tylko gdy wpadła na ściernisko, wtedy podnosiła instynktownie chorą nogę do góry i posuwała się na trzech łapach.

Nareszcie udało mi się łapę suce tak wyleczyć, że skaleczone pampuszki pokryły się nową skórą.

Już zdawało się być dobrze, gdy wtem spostrzegłem, że suka zaczęła przy drugiej tylnej łapie zębami coś majstrować, i wkrótce jeden pampuszek odgryzła.

— Co tu robić? — pytał raz Zeus. — Rzecz stawała się krytyczną. Poszedłem więc po radę do znanego weterynarza berlińskiego ogrodu zoologicznego. Ten rzekł mi, że także u dzikich zwierząt ogrodu trafia się to czasami, że sobie pięty w skutek wewnętrznej gorączki ogryzają, a wtedy brak tym zwierzętom pewnej substancyi odżywczej, którą im trzeba w pożywieniu uzupełnić. Zapisał zatem preparowanej mączki kościanej z solą i kredą, i kazał z tego dawać suce codzień łyżkę stołową w strawie, zresztą solić jej wodę do picia i dać jej kawałek soli na sznurku do lizania.

Oprócz tego leczył weterynarz świeżo ogryzioną piętę lokalnie, a gdy pomimo zarządzonej kuracyi suka była niespokojna i przez założony kaganiec bandaże zrywała, chcąc dalej łapę ogryzać, smarował piętę obrzydliwie woniącą tynkturą asafetydową, żeby ją do tej operacyi zniechęcić. Kuracya miała ten skutek jedyny, żeśmy sobie werandę, a w dalszym ciągu i pomieszkanie okropnie zasmrodzili. Nie pomogło nawet obicie kagańca drobnymi ćwioczkami, których ukłucia miały sukę od ogryzania pięt odzwyczaić.

Teraz skończyła się cała moja wiedza; pozostawał już tylko cudowny owczarz, Tomasz i królewska Akademia weterynaryi. Wybrałem tę drugą.

— Ach, panie, nic łatwiejszego, jak ta kuracya — odrzekł pan asystent Akademii, gdym mu moje strapienie przed-

stawił. — Zapiszę panu proszeczek; obetniesz pan suce włos na palcach, będziesz zasypywał proszkiem, zabandażujesz nogę — i w ciągu 8 dni będzie zdrowa jak orzech!

— No, no! — pomyślałem sobie — my się już maltretujemy przez parę miesięcy, a pan chcesz być gotowym za 8 dni! Pomyślawszy to, rzekłem:

— Może pan będziesz łaskaw sukę na kuracyi u siebie zatrzymać?

— Dobrze, zostaw ją pan tutaj.

Poszedłem do kasy, gwoli ostrożności zapłaciłem za dni 14, i zostawiłem sukę na pensyi. Gdym się po dziesięciu dniach zgłosił, rzekł mi dozorca:

— Aj, panie to jakaś uparta bieda! Suka obgryzła sobie jeszcze jedną łapę przednią...

— Masz! — zawołałem — teraz ma już biedna suka tylko jedną nogę zdrową... Pięknych 8 dni pana asystenta!

— Tylko nie chodź pan teraz do suki - dodał dozorca — bo biedne zwierzę ledwie się do swej klatki przyzwyczaiło, a widok pański mógłby ją zanadto rozczulić. Byłoby to zbyteczne, bo suka musi i tak jeszcze dłuższy czas u nas pozostać.

Przychodziłem do „Akademii", aby jeszcze dwa razy płacić za sukę i z ośmiu dni zrobiło się ośm tygodni. Nareszcie było mi tego za dużo i odebrałem biedne zwierzę. Dozorca zabandażował jej przed oddaniem obie chore łapy wielce kunsztownie, łyczkiem i lnianemi szmatami i tak poszła za mną. Wszyscy ulicznicy śmiali się z tych wspaniałych pończoch mojej suki, ale ona sobie nic z tego nie robiła, biegła wesoło i nie kulała wcale.

Gdym po dwóch dniach zmieniał bandażowanie, spostrzegłem na obu ranach odnawiającą się skórkę. Lecz pewnej nocy zbudziło mnie bolesne skowyczenie a potem wycie, podobne do tego, którem kundysy wiejskie pełnię księżyca witają. Ponieważ właśnie była pełnia i noc dość chłodna, sądziłem, że sukę mą rozebrał jakiś moralny „katzenjammer" i chorobliwemu jej usposobieniu daje tem wyciem wyraz. Wyszedłem przeto, zasłoniłem szyby i nabrałem sukę z góry, żeby cicho na swem legowisku leżała. Istotnie, zapanował spokój Ale gdybym nazajutrz sukę oglądnął, przekonałem się, że sobie ostatnią zdrową piętę ogryzła...

Himmeldonnerwetter! Poczciwe, przywiązane zwierzę było więc do niczego! Już chciałem sięgnąć po dubeltówkę i położyć koniec cierpieniom biednej suki, gdy najbliższej nocy pokazał mi się we śnie wierny Ekhard, psiarczyk wszystkich poczciwych psów myśliwskich, okryty długą sierakową opończą, w zielonym kapeluszu na kudłatej czuprynie, a przymrużając chytrze jedno oko tak do mnie mówił: „Twoja suka włóczyła się zbyt za kaczkami i nabawiła się reumatyzmu!"

Ach, dzięki-ci wierny Ekhardzie za to odkrycie! Ufając ci, wziąłem przedewszystkiem biedną sukę do ciepłego pomieszkania, potem począłem ją całą nacierać rozcieńczonem „Restitutions-Fluidem", którem przed laty kulejącego konia wyleczyłem, najbardziej nacierałem jej nogi, a potem zawiązałem ją po szyję do worka i kładłem koło ciepłego pieca. Nacierania powtarzały się każdego ranka i wieczora... Po ośmiu dniach suka była zdrowa.

Przed kilku dniami poczęła znowu na nogę nalegać i chciała już koło niej zębami majstrować. Natarłem ją zatem jeszcze raz rozcieńczonym „Fluidem" i położyłem w worku koło pieca. Odtąd nie kuleje już wcale.

Oto jest historya jaja kolumbowego; nie wielka sztuka postawić je — trzeba je wprzód znaleść".

KORESPONDENCYE.

Woziłów, w maju 1895.

(Towarzystwo myśliwych w Bukaczowcach.)

„*Mieux vaut tard que jamais*" — powiada przysłowie; tą też myślą zachęcony, przesyłem tę choć tak bardzo spóźnioną korespondencyę, by przypomnieć pamięci łaskawych czytelników istnienie naszego Towarzystwa myśliwych, o którego zawiązaniu i zorganizowaniu w jednym z pierwszych numerów „Łowca" z roku ubiegłego już pisałem. Dziś z tem większą przyjemnością kreślę niniejszą korespondencyę, bo mogę śmiało zaznaczyć pomyślny rozwój naszego towarzystwa, pomimo niewielu sprzyjających po temu okoliczności.

Dotkliwym ciosem dla coraz lepszego stanu zwierzyny, a w szczególności stanu sarn w kniejach bukaczowieckich, była ciężka i długotrwała zima, która zapewne i w kraju całym zwierzostanom dała się we znaki. W rewirach też przez nas dzierżawionych, na obszarze kilku tysięcy morgów, znaleziono czterdzieści kilka sztuk sarn nieżywych, które padły bądź to ofiarą motylicy, bądź też z powodu srogości zimy i braku pożywienia, jakkolwiek karma, o ile to w tych kniejach możliwem było, zadawaną była. Mimoto uważam stanowczo rozwój towarzystwa i naszej gospodarki łowieckiej za pomyślny, i stan zwierzyny znacznie podniesiony, a to dzięki gorliwemu tępieniu kłusowników, zarówno przez straż lasową tamtejszą, jak i przez naszą tamże utrzymywaną, czego najlepszym dowodem rezultaty polowań z ubiegłego sezonu.

W ciągu jesieni i zimy polowaliśmy dwa razy po trzy dni, raz w listopadzie, drugi raz w styczniu; na polowaniu jesiennem deszcz — na zimowem okiść na drzewach i raptowna odwilż nie najlepiej wpłynęły na rezultat obu polowań. A jednakże na pierwszem polowaniu padł 1 dzik, 7 rogaczy, 2 słonki, 8 lisów, 35 zajęcy, 2 jastrzębie — na drugiem zaś 6 dzików (5 silnie postrzelonych uszło w sąsiednie rewiry), 17 rogaczy, 2 lisy i 63 zajęce — w obu polowaniach razem 143 sztuk. Tymczasem w r. 1893/94, t. j. w pierwszym roku zawiązania się naszego towarzystwa, zabiliśmy ogółem 6 rogaczy, 30 zajęcy i lisa, a zatem sztuk tylko 37. Z postrzelonych na drugiem polowaniu dzików, znaleziono znacznie już później nieżywych trzy. W polowaniach brało udział w przecięciu szesnastu towarzyszy, bo nie wszyscy na wszystkie dnie przybyć mogli.

Ze zwierzyny lotnej, ubitej przez niektórych towarzyszy przez lato i jesień, na błotach i stawach państwa bukaczowieckiego, padło około dwieście sztuk.

Członków liczy nasze towarzystwo, tak jak i poprzednio 24, z pomiędzy których wybrany ten sam, co i dawniej, wydział sprawami towarzystwa i gospodarką myśliwską zarządza, skutecznie popierany przez Henryka bar. Christianiego, honorowego członka naszego towarzystwa i właściciela państwa bukaczowieckiego.

Pomyślnym rozwojem naszego towarzystwa zachęceni, staramy się o ciągłe podnoszenie stanu tegoż, w nadziei, iż w przyszłości niedalekiej coraz to milsze chwile w kniejach tych spędzane, będą towarzyszom przyjemnem wspomnieniem każdego sezonu myśliwskiego.

Marceli Bogdanowicz, sekr. Tow.



KRONIKA.

Redakcya „Łowca" przyjmuje przedpłatę na wydanie nejcelniejszych studyuów przyrodniczo-łowieckich Władysława Spausty które pod tytułem „Na tropach" opuszczą w ciągu sierpnia b. r. prasę. W książce, obejmującej około 25 arkuszy druku, zebrane tu będą cenne i zajmująco opowiedziane żywoty tura, żubra, konia dzikiego, suhaka, sobola, rosomaka, bobra, łosia, rysia, świstaka, dzika i łabędzia dzikiego. Przpłata wynosi 2 zł. 30 ct. w. a. za egzemplarz. Po wydaniu działa cena zostanie podniesioną. Rrzedpłatę można przysyłać do 15. sierpnia pod adresem: J. Starkel, redaktor Łowca, Lwów ulica Zyblikiewicza 5.

Ciekawy albinos. Muzeum im. Dzieduszyckich otrzymało młodą żywą kawkę, która ma upierzenie jednolite, szarawo-białe, biały dziób i białe odnóża, jest zatem najkompletniejszym albinosem, a mimo to zachowała charakterystyczne, w niczem niezmienione oko kawki, nie pozbawione barwników tęczówki, jak to zawsze u albinosów bywa. Jestto więc wyjątkowy, nie wiemy czy gdzie dotychczas spotkany, okaz zupełnego albinosa o należycie zabarwionych oczach.

Cztery rysie zostały w lutym i marcu ubite w lasach dóbr żywieckich, należących do arcyks. Karola Stefana. Między ofiarami rozdartemi przez te krwiożercze drapieżce naliczono przeszło 40 sarn, a nawet jedną krowę. Rysie przyszły do kniei żywieckiej z Węgier, gdzie obecnie zwierz wycinaniem lasów na wielką skalę jest niepokojony.

Premiowanie psów w Wiedniu. Dalszy wykaz psow, premiowanych I. nagrodą na wystawie wiedeńskiej, mieści w sobie następujące okazy:

W klasje ciężkich pointerów „Teviot" pies i suka „Bangle of Goed" baronowej Dewitz; z lekkich pointerów „Leo" pies księcia Maurocordato; z irlandzkich setterów „Trull" Fr. X. Plebana; z gordonsetterów i griffonów nie otrzymał żaden nagrody I. klasy. W klasie jamników „Siegerclasse" starszych nad rok, krótkowłosych, czarnorudych otrzymał I. nagrodę „Isolani Forst" pies i „Loni Forst" suka hr. Wurmbranda; z dalszych jamników tej samej rasy, starszych nad rok, lecz ważących mniej niż 8 kilogramów, „Buschman Forst" pies hr. Wurmbranda i „Krickl-München" suka C. Wasseneggera; z jamników tej samej rasy, starszych nad rok i ważących nad 8 klgm. pies „Spider W." baronowej Washington, i „Wickis Loni" suka M. Vitzthuma: z pomiędzy młodzieży 6 do 12-miesięcznej tej samej rasy „Evie" C. Girischa, „Bushman Forst" hr. Wurmbranda; z jamników rudych, krótkowłosych, starszych nad rok, a ważących niżej 8 klgm. „Mefisto-Reinecke" pies prof. Thanera i „Tekele" suka H. Veita; z jamników tej samej rasy, starszych nad rok i więcej niż 8 klg. ważących, „Digg" pies L. Heinricha i „Füchschen" suka H. Veita; z młodzieży tej samej rasy „Lorle Huifass" suka pani Padowetz; z jamników krótkowłosych, brunatnych „Gari" F. Heinzego i „Trautt" J. Puchera; z jamników ostrowłosych „Zappel-Forst" pies i „Zerline Forst" suka hr. Wurmbranda; z jamników długowłosych „Zänker F." hr. Wurmbranda. Na podstawie prób odbytych premiowany został jamnik „Junker Schneidig II." A. Padowetza. Pomiędzy foxterrierami odniosły pierwsze nagrody psy br. Lazariniego, porucznika Pellera i p. A. Rosmanita.

„Columba". Do ćwiczeń strzelania w locie skonstruował inżynier wiedeński Hugo Fuchs papierzanego latawca, w kształcie krążka wewnątrz wypukłego, który może być czyto ręką, czyto z używanej do kul szklannych katapulty w powietrze wyrzucony, i naśladuje wówczas lot ptaka. „Columba" markuje dokładnie każdy otrzymany śrut a nie rozlatuje się od razu pod działaniem strzału, jak kule szklanne pierzem napełnione, które są wskutek tego i za drogie i zasypują pole szkodliwemi okruchami szkła. Dziury wybite strzałem w „Columbie" zakleja się gumowanym papierem i krążek może być dalej kilka a nawet kilkanaście razy do ćwiczeń użyty. Środek „Columby" napełniony jest czarnym lub białym proszkiem, który wysypuje się otworami wybitymi przez ziarnka śrutu i markuje już w powietrzu trafność strzału. Wybór barwy proszku zależy od tła, na którem krążek w powietrzu się wznosi; przy tle ciemnem wskazany jest proszek biały, przy tle jasnem czarny.

Dlaczego mniej przepiórek? Pytanie to wyjaśnia wykrycie haniebnej manipulacyi, którą się obecnie bardzo wiele pisma niemieckie i francuskie zajmują. Z północnych Włoszech piszą o tem do *Münchener Neueste Nachrichten* co następuje:

Z wyjątkiem kilku do spisku wciągniętych urzędników kolejowych na linii Bazyleja-Luxemburg, nikt nie przeczuwał nawet, że w marcu tego roku przewieziono 256.000 żywych przepiórek via Brindisi-Gotthard z Egiptu do Londynu i że przesyłki tego rodzaju ponawiały się w kwietniu, maju, aż do początku czerwca. Cały ten transport, wynoszący $1\frac{1}{2}$ do 2 milionów sztuk przepiórek, przeznaczonym był dla smakoszów Londynu. Szły one przez Niemcy dlatego, że w skutek reklamacyi towarzystw myśliwskich i rolniczych we Francyi, zakazał rząd francuski dekretem z 4. marca przewozu przepiórek liniami kolejowemi francuskiemi w czasie ochrony.

Już od kilku lat występowały francuskie towarzystwa myśliwskie, szczególniej w piśmie *Le chasseur pratique* przeciw przewozowi przepiórek przez Francyę, lecz spekulanci handlu przepiórczego umieli zawsze za pomocą pewnego deputowanego, pozwoleniena przewóz w czasie ochronnym uzyskać. Dopiero w tym roku rzecz stanowczo zabronioną została, gdy się rozszerzyła bardziej wiadomość o haniebnej eksterminacyi przepiórek na wybrzeżach egipskich.

Rzecz się ma tak. Kilku spekulantów, do których i dwaj Włosi należą, nastawiają sieci, począwszy od drugiej połowy lutego aż do końca maja na wybrzeżach Egiptu, a to celem chwytania przepiórek, które właśnie wtedy gromadzą się licznie na wybrzeżach afrykańskich celem przelotu na kontynent europejski. Spekulacya polega na tem, że spekulanci wysyłają następnie schwytane ptactwo na pieczyste do Londynu. W jakich rozmiarach chwytanie to się odbywa, dość powiedzieć, że jeden tylko z tych spekulantów rozstawia 30 kilometrów sieci! Co ze schwytanych przepiórek uszkodzi się i zginie, bywa na miejscu za bezcen sprzedawane; zdrowe umieszczają jak najciaśniej w niskich kojcach i oddają na pokład parowców odpływających do Europy. Po podróży morskiej, trwającej 6 do 7 dni, wyładowywali spekulanci dotychczas towar swój w Marsylii i wysyłali go stamtąd do Londynu. Świadkowie naoczni, którzy widzieli transporty przepiórek na statkach parowych, mówią z oburzeniem o tych kojcach, gdzie znaczna część przepiórek ginie i żywe wraz z nieżywemi dalej płyną. Liczą, że w czasie podróży morskiej zginie więcej niż połowa ptaków; jeśli się zaś obliczy, co ich zginie przy chwytaniu w sieci i przy transporcie na statki, oraz przy dalszym transporcie koleją — a przecież co najmniej $1\frac{1}{2}$ do 2 milionów żywych ptaków do Londynu przybywa — to przyjąć należy, że roczny połów wynosi około 8 milionów sztuk! Tak kolosalny ubytek musiał się dać odczuć całej Europie i nie dziw, że w krajach europejskich myśliwi już od lat kilkunastu na brak przepiórek się skarżą.

Dziś, po wykryciu tego haniebnego i barbarzyńskiego handlu i po oburzeniu, jakie wiadomość o nim w Niemczech i Francyi wywołała, spodziewać się należy, że i w Egipcie położą koniec monstru-

alnym łowom na przepiórki, a tem samem przyczynią się do polepszenia przylotów tego ptactwa do Europy.

Egzotyczne pieczenie. W muzeum Carnevalet w Paryżu znajduje się zbiór listów, odnoszących się do czasów oblężenia Paryża przez Prusaków w r. 1870, a wymienianych pomiędzy przyrodnikiem i... rzeźnikiem. Przyrodnikiem był dyrektor ogrodu zoologicznego Geoffroy Saint-Hilaire, a rzeźnikiem rzeźnik paryski p. Deboos.

Wiadomo jaki brak żywności zapanował w Paryżu pod koniec oblężenia. Szczególniej mięsa nie było — jedzono co się dało. Rzeźnik Deboos miał jeszcze jedną krowę — „wspaniałe zwierzę" jak się wyraził — którą chciał przed srogim losem pójścia pod nóż ochronić i prosił sławnego przyrodnika o przyjęcie jej do ogrodu zoologicznego. „Dobrze — odpisał St. Hilaire — przyjmę pańskie „wspaniałe zwierzę", ale pod warunkiem, że nie będzie na mnie ciążyła odpowiedzialność, gdyby w sposób naturalny lub przypadkowy zginęła i że ją panu odstawię, gdyby dla moich zwierząt zabrakło paszy".

Krowa ta stała się zatem zawiązkiem stosunków pomiędzy przyrodnikiem a rzeźnikiem, jednakże nietylko sama oddała wkrótce gardło pod nóż, lecz co więcej, utorowała drogę egzotycznym zwierzętom, które Geoffroy St. Hilaire musiał i dla braku paszy i dla wzmagającego się głodu rzeźnikowi pod nóż oddawać. I tak d. 24. października powędrowały do rzeźni Deboosa 3 zebry i bawół — a nigdy zapewne nie miał rzeźnik tak uczonego dostawcy bydła, jak dyrektor paryskiego *Jardin d' acclimatation*. Z końcem października kupił Deboos młodego renifera za 200 franków, 8. listopada zarznął antylopę, za nią idą dziki i dwie świnki w cenie 1200 franków, 3 reny za taką samą cenę, kazuar za 200 fr., znowu dwa reny i dwie czarne świnie za 1200 fr., rosyjski ren za 400 fr., znowu kazuar nowoholandzki za 200 fr., jeszcze raz dwa reny za 800 fr., dwa bażanty za 50 fr., i t. d. D. 21. listopada nabył Deboos 2 antylopy i bażanta srebrnego za 1020 fr., inną antylopę z dodatkiem dwóch zamorskich gęsi oddano mu za 1000 fr.

W skutek wzmagającego się coraz bardziej głodu pojawili się konkurenci Deboosa, cena egzotycznych zwierząt idzie zatem w górę. Deboos płaci więcej, d. 25. listopada nabywa dwa jelenie i sarniątko ze 2500 fr. Geoffroy St. Hilaire stara się przy tej sposobności wyzyskać ile się da przyjaciela-rzeźnika. Pośród listów znachodzi się bilet dyrektora do jednego z podwładnych, w którym pisze: „Sprzedaj pan Deboosowi kilka gorszych sztuk ptactwa, ale drogo — bardzo drogo. Nie dawaj mu pan żadnej kaczki, tylko gęsi, jeżeli jeszcze mamy kilka. Parę kur zachowaj dla nas na wypadek potrzeby."

Ceny idą ciągle w górę. Ogród sprzedaje: 2 jelenie i 5 koziołków egzotycznych za 3000 franków, niedźwiedzia za 500 fr., trzy antylopy z Przylądka Dobrej nadziei za 400 fr., dwa młode koziołki egzotyczne za 200 fr., muflona za 300 fr., znowu jakąś antylopę za 650 fr., 2 łanie francuskie, świnię siamską i dzika za 2200 franków...

Zbliżały się najsmutniejsze dla Paryżan święta Bożego Narodzenia — pieczyste staje się coraz egzotyczniejsze i coraz droższe. Ogród dostawia rzeźnikowi 2 wielbłądy za 5000 franków, 2 pawie za 80 fr., 4 kaczki labradorskie za 100 fr., bażanta złotego i dromedara za 2880 franków...

Klatki *Jardin d'aclimatation* wypróżniają się przeraźliwie, a kucharze paryscy łamią sobie głowę nad przyprawieniem nieznanych mięs. Nareszcie Geoffroy St. Hilaire sprzedaje Deboosowi d. 29. grudnia dwa słonie za 27.000 fr.! Lecz szczęśliwie skończyło się oblężenie — przyrodnik i rzeźnik nie mieli już tematu do korespondencyi, klatki ogrodu zoologicznego opustoszały, a Paryżanie nie jedli nigdy w życiu tyle nadzwyczajnych potraw mięsnych, co w czasie oblężenia.

Profesorskie polowanie. Dwaj profesorowie wiedeńscy dr. F. Hochstetter i dr. J. Oser, zamieniwszy księgi i instrumenta naukowe na manierki z koniakiem i wyborne dubeltówki, wybrali się tej wiosny w lasy Hohenbergu w niższej Austryi, aby na głuszca raz zapolować. Przybywszy na miejsce pod wieczór, oczekiwali przy kuflach piwa w restauracyi raportu leśnych. Czas był nieprzyjemny, deszcz lał jak z cebra. Przyszedł Fryc, jeden z leśnych, przemokniety do nitki i raportuje profesorowi Hochstetterowi, że kogut jest, że wprawdzie w ostatniej chwili „przeprawił się" dość daleko, ale będzie go można znaleść. Po chwili przyszedł i drugi leśny, Michl, i zapewnia dr. Osera, że: *u' Professa sei' Hahn sicha b'statt is.*

Pełni nadziei wybrali się też obaj profesorowie na długo przed wschodem słońca do kniei — dr. H. trochę wcześniej, gdyż miał dalszą drogę, dr. O. z Michlem nieco później w inną stronę. Ciemno było jak oko wykol, wiatr wilgotny jęczał potępieńczemi głosami wśród boru, lecz profesorowie idą śmiało naprzód. Dr. Oser nadstawia ucha, aby nie stracić telękania koguciego — zdaje mu się, że już słyszy głuszca — lecz Michl wiedzie dalej i dalej. Nareszcie rozległo się w dali słabe, ledwo dosłyszalne telękanie i czychitanie głuszca. Dr. Oser spieszy, próbuje mierzyć, lecz dopiero gdzieś pierwsze brzaski zajaśniały na wschodzie i trudno wziąć cokolwiekbądź na muszkę. Chwilkę czekają, oryentują się — nareszcie następuje podskakiwanie koguta. Już szarzeje między drzewami — profesor próbuje znowu mierzyć—w końcu bierze głuszcza na cel i wali... Z błyskiem strzału padł kogut z gałęzi, lecz równocześnie rozległ sie po drugiej stronie okrzyk: *Himmelsakrament!* Profesor Oser struchlał, poznawszy głos swego kolegi — biegnie naprzód i spotyka się z dr. Hochstetterem. Cóż się stało? Oto Fryc, którego głuszec pod wieczór „przeprawił się" dość daleko, podprowadził swego profesora do tego samego koguta i drzewa, pod którem Michl z drugiej strony z dr. Osesem stanął. Pierwszy wahał się jeszcze ze strzałem z powodu głębokiego zmroku, drugi zaryzykował i skończyło się na tem, że do domu wrócili dwaj profesorowie, ale tylko jeden kogut.

Drogocenny ptak. Przy licytacyi, która z końcem kwietnia odbyła się w Londynie, zakupionym został egzemplarz wypchanej Alki bezlotnej (*Alca impennis*) za 350 funtów sterlingów na rzecz muzeum Edynburskiego. Równocześnie sprzedano jajo alki bezlotnej mimo że było w cieńszym końcu pęknięte, za poważną sumę 180 funtów. Ubiegłego roku trafił się nawet nabywca, który za jajo tego rodzaju, będące w zupełnie dobrym stanie, zapłacił trzysta funtów, a w r. 1888 uzyskano za pięć jaj 1195 funtów czyli z przecięcia 2390 zl. za sztukę.

I skądże tak wysokie ceny? Oto dlatego, że alka bezlotna należy do ptaków bezpowrotnie już wytępionych.

Smutna historya wytępienia tego olbrzymiego ptaka nie liczy nawet i stu lat. Przedtem nie była alka wcale rzadkością na wybrzeżach Islandyi i nowej Fundlandyi, ale niestety, uległa dzikości marynarzy i w ogóle bezmyślnym a łatwym łowom. Tak n. p. w r. 1808 zrobiła sobie załoga pewnego statku angielskiego zabawkę i wytępiła do nogi całą kolonię tych bezbronnych i nieszkodliwych ptaków. Ostatnie epigony tego rodzaju miały być w r. 1844 na wybrzeżach Islandyi ubite.

Alka bezlotna pojawiała się także na północnych wybrzeżach Szkocyi i na wyspach Orkney. Jeszcze w r. 1822 posiadał prof. Flaming w Edynburgu żywą alkę bezlotną, a w r. 1834 ułowił jedną rybak w porcie Waterfodskim. Od tego czasu nie widział już nikt alki bezlotnej na wybrzeżach W. Brytanii.

Obecnie znanych jest zaledwie 80 egzemplarzy alki, z których 4 znajduje się w Austryi, 22 w W. Brytanii, 20 w Niemczech, a 8 we Francyi. Stąd też pochodzi ciągłe wzmaganie się ceny tego, niestety w naszem już stuleciu wytępionego ptaka, bo liczba zbiorów się wzmaga, a nikt już nie zdoła liczby szczątków alki bezlotnej pomnożyć.

Mamut w Ameryce. Przypuszczano od dawna, że wyspy Aleuty są resztą mostu, który łączył niegdyś Amerykę i Azyą i umożliwiał przechód zwierząt między obu temi częściami ziemi. Otóż przypuszczenie to zostało stwierdzone wynalezieniem szczątków mamuta, o których Dawson referował na listopadowem posiedzeniu londyńskiego Towarzystwa geograficznego. Znaleziono je mianowicie w Ameryce nie tylko na północy, w Alasce i Kanadzie, lecz także na Unalasce i na wyspach Prybyłowskich, t. j. na połowie drogi między Azyą i Ameryką. Przybywszy od zachodu lądem, zatrzymał się tedy mamut na zachodzie Kordylierów; bardziej na południe zastąpił go już *Elephas columbi*. Na północnem wybrzeżu Alaski leżą kości mamuta w glinie pod przykryciem warstwo torfowej. Dawson przypuszcza, że mamnty ginęły w skutek zapadania się w topniejącym śniegu i leżących pod nim namułów gliniastych; inni, jak Nehring, są mniemania, że śmierć mamuta następowała w skutek zawiania śniegami.

Sekretarz i Skarbnik gal. Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** ulica Zyblikiewicza 5.

Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.